



Marta Kisiel

ilustracje Paulina Wyrł

Małe Licho

i tajemnica Niebożątka


WILGA

Marta Kisiel

Małe Licho i tajemnica Niebożątka

Ilustracje Paulina Wyrta



Tekst © Marta Kisiel, MMXVIII
Ilustracje © Paulina Wyrst, MMXVIII
Wydanie I
Warszawa, MMXVIII

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Małe Licho i tajemnica Niebożątka](#)

[Podziękowania](#)

*Dla Julki, która pewnego dnia zapytała,
czy kiedyś napiszę dla niej książkę*

Małe Licho i tajemnica Niebożątka

Nie tak znowu dawno temu, bo zaledwie przed miesiącem lub sześcioma, a może jeszcze kiedy indziej, na skraju pewnego miasta stał dom. Stał tam od wielu lat, lecz mało kto o nim wiedział, a ci, którzy wiedzieli, rzadko o tym pamiętali. Nawet listonosz ciągle o nim zapominał, dlatego co rusz musiał się wracać.

Uliczka, przy której stał dom, obrośnięta nieprzebytymi chaszczami, wiodła nie wiadomo gdzie i po co. Czasem ktoś skręcił w nią przypadkiem, lecz po kilkudziesięciu metrach zawracał, równie zbłąkany, co speszony lub wręcz oburzony faktem, że też w dzisiejszych czasach istnieją jeszcze uliczki tak bezcelowe. A gdyby uruchomił ciekawość zamiast nawigacji w smartfonie i zapuścił się kawałek dalej, ujrzałby, że z owych chaszczy ni stąd, ni zowąd wyłania się po jednej stronie wysokie, pokryte bluszczem ogrodzenie, a nad nim gęste korony drzew i przezierający spomiędzy nich dach – omszały, dziurawy i śmiesznie zapadnięty. Przez to wygląda trochę, jak gdyby się cieszył, że w końcu zaczął tracić mleczne dachówki i już wkrótce będzie prawie dorosłym dachem. Gdyby ów ktoś odpowiedział mu uśmiechem i przystanął na chwilę, żeby przypatrzeć się trochę lepiej, dostrzegłby wśród bluszczu bramę. I może podszedłby wtedy bliżej, jeszcze bliżej, żeby zerknąć z zaciekawieniem przez dziurkę od klucza, a wówczas zobaczyłby coś naprawdę, ale to naprawdę niesamowitego.

Lecz dach był stary i ogrodzenie też było stare, i brama w tym ogrodzeniu, i bluszcz, który je porastał, a ludzie na co dzień za bardzo się spieszyli do swoich nowych, ważnych spraw, żeby szukać szalonych przygód przy takich uliczkach jak ta, na uboczu. I nikomu nawet by do głowy nie przyszło, że po drugiej stronie ogrodzenia, w starym domu pod uśmiechniętym, szczerbatym dachem, ktoś mieszka. I że tym kimś jest mały chłopiec.

No, może nie taki znowu całkiem mały, o czym niezbitcie świadczyła kolejna rysa na framudze, parę centymetrów wyżej niż poprzednia. Chłopiec miał oczy jak dwa chabry i włosy jak len, poskręcane w niesforne pukle, które słuchały tylko wiatru (bo grzebienia czy szczotki to na pewno nie). I też ciągle się uśmiechał, chociaż niedawno wypadł mu kolejny ząb, a dwa inne wciąż z mozołem wyrastały. W rezultacie chłopiec chwilowo szczyrzył się do świata głównie szparami po zębach i trochę seplenił, czym się jednak wcale nie zrażał, zwłaszcza że buzia rzadko mu się zamykała, nawet przy myciu zębów. W starym domu miał swój własny pokój na piętrze, a w nim stare łóżko, które trochę się zapadało, jeden regał pełen książek, drugi z grami planszowymi oraz wielką drewnianą skrzynię. Zajmowała całą wnękę pod oknem i trzeba było obu rąk, a najlepiej to trzech, żeby dźwignąć wieko. Chłopiec trzymał w niej najwspanialsze skarby, jakie dotąd udało mu się zgromadzić: kamyczki z kolorowego szkła, czachę z prawdziwego plastikowego marmuru, pajaka z pompką, który co prawda od dawna nie skakał, ale wciąż wyglądał naprawdę strasznie, zwłaszcza gdy się go przypadkiem nadepnęło po ciemku, żołnierzyki, piłeczkę z gwiazdkami zatopionymi w kauczuku, trochę już zmatowiałą i nadgryzioną z jednej strony, całkiem dobry kalejdoskop, farbę w sprayu, trzydzieści cztery pudełka po zapalkach, scyzoryk, gumowego kurczaka oraz wspaniałą kolekcję chrabąszczy. Chrabąszcze – siedem zielonych, cztery żółte i jeden różowy – były bardzo duże i plastikowe. Na początku śmiesznie pachniały, ale w końcu im przeszło. Pozostawione przez cały dzień na parapecie świeciły w ciemności niesamowitym blaskiem. Poza tym świetnie szturmowały zamki z klocków, ścigały się po świeżo wyfroterowanym parkiecie, skakały ze schodów na spadochronach z chusteczek higienicznych i sznurka albo wędrowały pstrokatą karawaną po bezkresnych wydmach piaskownicy w ogrodzie. No i doskonale pływały w garnku z zupą ogórkową, o czym chłopiec przekonał się trochę przypadkiem. A trochę nie.

Oprócz tych wszystkich skarbów drobnych i nie do końca poważnych chłopiec miał też skarb największy – mamę, którą bardzo kochał i która bardzo kochała jego. I choć mama głęboko wierzyła w chodzenie spać wcześniej, tran i brokuły i często musiała za dużo pracować, to chłopiec w starym domu pod uśmiechniętym dachem nigdy, nawet przez chwilę, nie był sam.

Bo oprócz pokoju, skrzyni i mamy miał też najprawdziwszego na świecie anioła stróża.

A pod jego łóżkiem mieszkał potwór.

Anioł w żadnym garnku się nie mieścił (sprawdzali) i wcale nie świecił, nawet po naprawdę długim dniu zabawy na podwórku, za to szeleścił cichutko swym anielskim włosiem. No i kichał. I to jak! Nie był szczególnie wielki, nie grał na harfie ani na trąbie, co najwyżej na cymbałkach. Nie miał też ognistego miecza i mimo posiadania bezsprzecznie anielskich skrzydeł nie za bardzo umiał latać. Nie nosił powłóczystych szat ani lśniącej zbroi jak anioły w książkach, tylko przyduże koszulki, sięgające mu za kolano i zawsze starannie wyprasowane, oraz mięciutkie bamboszki, które sam dziergał z zapałem. Ciągłe chodził zasmarkany, a na jego pyzatej buzi zwykle malowało się albo szczere zdumienie, albo równie szczery zachwyty światem. Prawdę mówiąc, gdyby nie włosy jak z celofanu, skrzydła i tęczowe oczy, niewiele różniłby się od chłopca, nad którym czuwał, odkąd ten był tłusciutkim, obślinionym niemowlęciem, zwanym przez domowników Niebożątkiem. Tyle że z biegiem lat z Niebożątka wyrósł rezolutny Bożek, który przy śniadaniu sam nalewał sobie mleko z kartonu i z reguły trafiał już w kubek, jego anioł stróż zaś przez ten czas nie zmienił się nic a nic.

Potwór z kolei doskonale mieścił się pod Bożkowym łóżkiem, gdzie co noc spał zwinięty w bardzo skomplikowany kłębek. Czasem śniło mu się coś szczególnie ekscytującego i wtedy wyciągał przez sen lśniąca, czarną

mackę albo dwie, ewentualnie pięć. Podrygiwały śmiesznie na podłodze w rytm jego dudniących pochrapywań, a Bożek musiał bardzo uważać, żeby ich nie nadepnąć, kiedy po ciemku wstawał do łazienki. Swym wyglądem potwór mógł w pierwszej chwili budzić pewne obawy, zwłaszcza gdy próbował wspinać się na ręce każdemu, kto nie uciekał dość szybko, żeby umknąć przed tym przypiływem czułości. W rzeczywistości był jednak straszliwym pieszczochem. Budował z klocków wieże aż po samiuteńki sufit, ciągle podkradał wszystkim kapcie i próbował w nich człapać po domu, uwielbiał się przytulać i słuchać opowieści do poduszki, a do tego świetnie grał w jengę i bierki. Lecz najchętniej godzinami bawił się w piaskownicy. Uklepywał babkę za babką, wznosił zamek za zamkiem, gulgocząc przy tym z wyraźną radością i nie przejmując się ani słońcem, które raziło jego liczne potworne oczka, ani piaskiem, który lepił mu się do przyssawek.

I kto wie, czy nie właśnie taki widok ujrzałby ów ktoś, kto odnalazłby bramę w starym ogrodzeniu i z ciekawości zerknął przez wielką dziurkę od staromodnego klucza. A potem może odkryłby nawet, że oprócz szczerbatego Bożka z kolekcją chrabąszczy, jego mamy, anioła stróża i potwora w starym domu na skraju miasta mieszkało jeszcze parę osób, zwierzątek oraz stworzeń wielce osobliwej natury.

Gdyż stary dom na skraju miasta był naprawdę, ale to naprawdę niezwykłym domem. Mama zawsze powtarzała, że nowe domy co prawda mają centralne ogrzewanie, za to stare domy ogrzewa dusza. Ich dom duszę miał bez wątpienia. Z zewnątrz sprawiał trochę niesamowite wrażenie, w środku zaś wcale nie lepsze. Wystarczył silniejszy podmuch wiatru, opady śniegu, ulewny deszcz, a czasem po prostu nieopatrznie postawiony krok albo upuszczona piłka, żeby zaraz cały trzeszczał albo zawodził, że go strzyka w fundamentach.

Przez samo serce domu, z góry na dół (oraz z powrotem), ciągnęły się

bardzo strome i kręte schody o drewnianych stopniach, na których Bożek potrafił wygrywać setki melodii, podczas gdy wysłużona balustrada chybotąca się do własnego taktu. Schody prowadziły z zagraconego strychu przez bardzo skomplikowane piętro aż na równie zagmatwany parter. Na wszystkie strony rozbiegały się od nich labirynty korytarzy, do których tuliły się nieprzeliczone pokoje, schowki, zaułki, klitki i inne zakamarki, częstokroć zamieszkane przez kogoś... lub coś. A gdyby dobrze policzyć, to wręcz przez całą zgrają kogosiów i cosiów.



Do kogosiów zaliczali się mama i sam Bożek, ma się rozumieć, i Licho, i wujaszek Turu. No i jeszcze wujek Konrad, do którego należał cały ten dom – i który też miał swojego anioła stróża. Ale zupełnie innego niż malutkie, pyzate, dziecinne Licho. Anioł wujka był taki... taki... no po prostu anielski! Wysoki, świetlisty i piękny, o ametystowych oczach, które zawsze patrzyły z przenikliwością, o długich włosach o barwie złota

i rozłożystych skrzydłach, białych niczym najbielszy śnieg! Owszem, trochę zadzierał nosa i bez przerwy wszystkich pouczał, ale Licho mówiło, że Tsadkiel w ten sposób okazuje troskę.

Odkąd Bożek podrósł i zaczął Zadawać Pytania, a nawet Oczekiwać Odpowiedzi, mama często opowiadała mu o tacie, który umarł długo przed jego narodzinami. („Bardzo, bardzo długo przed”, lubił wtedy wtrącić wujaszek Turu, po czym zaczynał tak strasznie, ale to strasznie chichotać, że aż mu łzy ciurkiem leciały po policzkach aż na brodę, mama się denerwowała i rzucała mu To Swoje Spojrzenie, a Bożek nic a nic z tego nie rozumiał. Co gorsza, nikt nie chciał mu niczego wyjaśnić jak człowiekowi, tylko wszyscy powtarzali, że i tak nie zrozumie. No a jak miałyby cokolwiek zrozumieć w podobnych warunkach?). Opowiadała również o tym, jak zamieszkała u wujka Konrada, początkowo tylko na trochę, a potem jakoś tak już zostało. Bo wujek, tłumaczyła mama, właśnie tym się zajmował – że się u niego mieszkało, jeśli nie miało się gdzie mieszkać, a wujaszek Turu mu pomagał, ponieważ o wiele lepiej radził sobie z gwoździami i młotkiem, i tak zwanym funkcjonowaniem w społeczności. (Po tych słowach wujaszek Turu znów zaczynał chichotać, a wujek Konrad wzdychał i przewracał oczami). Takie miejsce nazywało się „pensjonat”. Ale nie taki zwyczajny pensjonat, tylko specjalny. Dla cosiów – istot nie z tej ziemi, widm, potworów, aniołów i tak dalej. Stąd właśnie wziął się mały Gucio pod łóżkiem i Krakery, jego dużo większy pobratymiec, który mieszkał w przepastnej piwnicy i zajmował się gotowaniem dla wszystkich domowników, jak również duchy na strychu, zielony utopiec w ogrodowej sadzawce, dzinn w butelce, zmienianej regularnie co miesiąc, a także żar-ptak, podziomek i jeszcze parę osobliwych, a przy tym wstydlivych stworzeń. Listę lokatorów zamykało osiem różowych królików oraz najzwyczajniejsza szara kotka imieniem Zmora.

Cóż. Tak jak stary dom nie był zwyczajnym domem, tak też jego mieszkańcy odbiegali od przeciętnej. Nawet Bożek nie był takim do końca

zwyczajnym Bożkiem. I również miał swoją Wielką Tajemnicę, o której nikt obcy nie mógł się nigdy dowiedzieć.

Wszystko zaczęło się pewnego wiosennego popołudnia – choć wtedy nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że cokolwiek się zaczyna. Wprost przeciwnie, świat sprawiał wrażenie, jak gdyby najchętniej się zaraz skończył. Było zimno, mokro, szaroburo, krótko mówiąc, paskudnie i nic nie zapowiadało, by miało się to szybko zmienić. Wielka, ciemna chmura jak zawisała nad domem przed paroma dniami, tak wisiała nadal i nieustannie siąpiła deszczem. Dlatego Bożek i Licho zaraz po obiedzie rozsiedli się na podłodze niewielkiego salonu i zabrali do dzieła, o którym dyskutowali przez całe drugie danie (dziś było risotto) i początek deseru (tym razem sernik z polewą czekoladową). Zamierzali zbudować dla dżinna Bombaja wielomodułową stację kosmiczną.

Pospiesznie wykonany prototyp z bloku technicznego i taśmy klejącej okazał się nieszczęsny i dżinn wyciekł, złorzecząc nieudolnym konstruktorom perskimi wężykami. Chwilę potrwało, zanim zdołali go wdmuchnąć w całości z powrotem do butelki z ciemnozielonego szkła. Po krótkiej naradzie Bożek i Licho zdecydowali się wykorzystać wyszperane w piwnicy kartony i słoiki, gumę arabską, tylko trochę zaschniętą, oraz duże ilości plasteliny w kolorze wymieszanym. Dżinn tymczasem odsypiał niedawne chwile grozy na zacisznym parapecie.

Za oknem deszcz dzwonił wiosenny, w kuchni dzwoniły i pobrzękiwały naczynia, a w tle szumiała lejąca się z kranu woda. Atmosfera i pełny brzuch sprzyjały wielkiemu lenistwu lub równie wielkiemu skupieniu. Bożek za pomocą krawieckich nożyc – wielkich, ciężkich i nieporęcznych, za to ostrych jak należy, choć mama pewnie byłaby innego zdania – wycinał w kartonie mniej więcej okrągły otwór na iluminator. Sam iluminator, w postaci pękatego słoika po konfiturach z czarnej porzeczki, Licho właśnie ozdabiało gwiazdkami ze złotego brokatu (chcący)

i strzępami własnego pierza (niechcący). Aż zezowało przy tym z przejęcia i kilkakrotnie kichnęło, rozsiewając brokat po caluteńkim salonie.

– Ojoj, alleluja... – pisnęło zafrasowane, ponieważ wskutek kolejnego wstrząsu rozmazały mu się dwie świeże gwiazdki. Ale Bożek pospiesznie zapewnił małego anioła, że mgławica też jest w dechę, czyli w porządku, i ten odzyskał pogodę ducha. I to nawet z naddatkiem. Takie mgławice produkowało się szybciej i łatwiej niż gwiazdozbiory, choć o wiele bardziej sypały się na dywan.



Dżinn chrapał, aż butelka podrygiwała. Dywan ginął pod coraz grubszą warstwą wielobarwnych ścinków, wśród których wznosiły się kolejne moduły z kartonu, łączone skomplikowanym systemem przezroczystych tuneli z butelek po wodzie mineralnej i śluzu na zawiasach z jutowego sznurka. Kopulaste iluminatory o subtelnej woni dżemów, konfitur, a nawet kiszonych ogórków lśniły w świetle żyrandola, podobnie jak

wszechobecny brokat, który razem z anielskim pierzem kleił się do uszczerek z plasteliny. A gdy nożyczki wreszcie poszły w ką (właściwie to pod kanapę), Bożek sięgnął po flamastry, Licho zaś po farby plakatowe. Gwiazdy i mgławice, planety i planetoidy, rakiety kosmiczne i latające spodki, ludki zielone, żółte i czerwone, a także kilka kwiatków dla ozdoby oraz bliżej niezidentyfikowanych kleksów – wszystko to rozkwitało na dotąd burym kartonie i przypadkowych fragmentach dywanu.

Dzinn w końcu się przebudził i zabulgotał zza grubego szkła.

– Dobrze, Bombajciu – odparło Licho, które jako jedyne mniej więcej rozumiało perskie wężyki, choć czasem gubiło się w skomplikowanych metaforach i musiało wtedy nadrabiać miną. – Prosi, żeby mu jeszcze nasypać do środka piaseczku – zwróciło się do Bożka.

Chłopiec zamrugał, zdezorientowany.

– Na kuwetę?...

– Och, alleluja! – Anioł z przyganą pokręcił głową. – Na pustynię!

– Pustynię? W kosmosie? No nie wiem, czy to nam się komponuje ze scenografią...

Słyszając to, dzinn Bombaj ponownie wydał z siebie kilka zawitych wężyków, a Licho przetłumaczyło czym prędzej:

– Mówi, żeby mu w takim razie wymieszać piasek z brokatem, wtedy będzie bardziej gwiezdnie.

– Dobra! To ja poszukam. I od razu przyniosę też gwoździe! – natychmiast zaofiarował się chłopiec i pognął do piwnicy, gdzie od późnej jesieni do wczesnej wiosny przechowywali zabawki z ogrodu. W jednym z plastikowych wiaderk powinny się znaleźć resztki piaseczku, w sam raz na taką okazję.

Wejście do piwnicy znajdowało się nieopodal salonu, na końcu zaułka, zaułek krył się za spizarnią, ta zaś przylegała bezpośrednio do kuchni, gdzie wciąż siedzieli dorośli. Z pewnością zaciekawiliby ich, po co Bożkowi i Lichu piasek w salonie, nie mówiąc już o gwoździach, co z kolei

mogło się skończyć nieplanowaną kontrolą i odgórnie narzuconymi zmianami w koncepcji wykończeniowej stacji – krótko mówiąc, z pustyni wyszłyby nici. Dlatego chłopiec najpierw przemknął do piwnicy bardzo starannym ukradkiem. Po chwili wrócił na parter z wiaderkiem w objęciach i garścią gwoździ w kieszeni, cichutko zamknął za sobą drzwi i na palcach ruszył w drogę powrotną. Był już prawie w salonie, gdy naraz znieruchomiał.

– ...nie jest najlepszy pomysł. – Do jego uszu dobiegł głos mamy, wyraźnie i niezaprzeczalnie strapiony. A przecież mama nie zwykła się trapić, zawsze powtarzała, że to strata czasu.

– To już duży chłopak – odpowiedział jej spokojnie męski głos, który zawsze kojarzył się Bożkowi z mruzeniem kota. A kot, jak to kot – w jednej chwili mruczy, by w drugiej wbić w człowieka wszystkie pazury. Wypisz wymaluj wujek Konrad.

Bożek za nic by się do tego głośno nie przyznał, no bo w końcu miał już swoje lata, ale trochę się wujka bał. Nawet trochę bardziej niż trochę. Wujek rzadko się do niego odzywał niepytany, za to gdy już otworzył usta, to mówił przekornymi zdaniem, które zawsze znaczyły coś innego, niż się Bożkowi wydawało. (Mama tłumaczyła mu za każdym razem, że wujek jest po prostu sarkastyczny czy jakoś tak, ale zdaniem nadąsanego Bożka powinien wziąć na to jakiś syrop, to może by mu w końcu przeszło). Do tego był bardzo blady i chudy, ciągle się z czegoś naśmiewał, ale tak samymi oczami, i zawsze ubierał się na czarno, przez co wyglądał jak własny cień. I nie taki smętny cień, tylko naprawdę straszny. Jak upiór. A teraz ten posępny cień sącył mamie do ucha słowa smutne i straszne.

– To już duży chłopak – powtórzył. – Nie możesz go wiecznie trzymać w domu. Przecież on nie zna świata poza nim. Uczy się tutaj. Bawi się. Całe życie spędza niemal wyłącznie w domu, praktycznie nie ruszając się poza ogród.

– Przecież czasem wychodzi!

– Ach, nie no, jasne – odparł wujek Tym Swoim Tonem. – Oczywiście, że wychodzi, jak mogłem o tym zapomnieć. Co prawda raz na pół roku albo rok, do pediatry na szczepienie albo na kolejny egzamin, ewentualnie do kina albo zoo. No ale kto by się przejmował szczegółami, ważne, że wychodzi!

– Och, nie próbuj ze mną tych swoich sztuczek, Konradzie – prychnęła mama i naprawdę niewiele brakowało, żeby Bożek jej głośno przyklasnął. – A czy to mu w czymś szkodzi? Nie! Bożek jest bystrym i ciekawskim dzieciakiem. Samodzielnym, twórczym... czasem trochę nadmiernie, ale cóż. Płynnie czyta. Świetnie sobie radzi z matematyką. Chłonie wiedzę jak gąbka. Zresztą, gdyby nie on, nigdy byś się nie dogadał z widmami ze strychu, bo nawet po tylu latach mieszkania z nimi pod jednym dachem wciąż nie sklecisz jednego zdania po niemiecku, ty lingwistyczny gamoniu. Co więcej, w przeciwieństwie do ciebie Bożek wprawnie posługuje się narzędziami i kozikiem... choć nie powiem, żeby akurat to wzbudzało mój szczególny entuzjazm.

Chłopiec uśmiechnął się łobuzersko pod nosem, czując w kieszeni ciężar gwoździ. Dobrze, że mama o nich nie wiedziała. Ani o tym, że ostatnio próbował swoich sił z lutownicą...

– Więc kiedy nastanie właściwy moment – ciągnęła mama rzeczowym tonem – Bożek wyjdzie do ludzi i doskonale się wśród nich odnajdzie. Sam zobaczysz.

– Bardzo pięknie – powiedział wujek Konrad, niby grzecznie i zgodnie, ale Bożek już go za dobrze znał, żeby się na to nabrać. – A kiedy nastanie ten właściwy moment? I co dokładnie oznajmi jego nadejście? Kometa? Deszcz żab? Trąby jerychońskie?

– Sam jesteś trąba – odparowała mama. – Mówisz tak, jakby żył na bezludnej wyspie. A przecież ma mnie i was dwóch, prawda? Do tego ma Gucia, Tsadkiela i całą resztę. Razem dajemy mu wszystko, czego potrzeba dziecku. Dom, rodzinę, poczucie bezpieczeństwa i miłość. A przede

wszystkim Bożek ma tutaj Licho, a nawet ty musisz przyznać, że to znacznie więcej niż... – mama się rozpędziła, lecz wujek stanowczo wszedł jej w słowo:

– Wiem. I Licho bardzo go kocha, i bardzo się stara, jak to Licho. Tyle że to już nie wystarczy. Wystarczyło, kiedy Bożek miał roczek czy trzy lata. Albo nawet i pięć i co drugie słowo wciąż wtrącał „alleluja”, i wszyscy uważali, że to urocze.

– Wszyscy z wyjątkiem ciebie – nie omieszkała mu wytknąć. – Ty uznałeś, że to dziwactwo, więc trzeba z tym walczyć.

– Z dziwactwem trzeba walczyć, jeśli staje się brzemieniem. – Westchnął. – Tak, masz rację. Licho i Bożek są tu bardzo szczęśliwi. Świata poza sobą nie widzą. I właśnie w tym sęk. Właśnie w tym. Zrozum wreszcie.

Kiedy po raz pierwszy padło słowo „dziwactwo”, i to jeszcze z ust mamy, jego własnej mamy, Bożek zjeżył się tak mocno, że na chwilę przestał słuchać. Myśleć zresztą też, za to czuł tyle, ile jeszcze nigdy w życiu – i złość, i strach, i wstyd, i bezsilność, i przykrość, straszliwą, okropną przykrość. Taką przykrość, że aż go piekła w oczach i drapała w gardle, chociaż przecież wcale nie chciało mu się płakać. Wcale a wcale! I co z tego, skoro głupie łzy napłynęły mu do głupich oczu. Otarł je szybko wierzchem dłoni, pociągnął nosem i zapuścił żurawia do salonu.

Licho, usadowiwszy się po turecku na kanapie, najpierw zrobiło członków załogi ze starych skarpetek, guzików i włóczki, aby dzinn nie czuł się samotny wśród kartonu. A teraz w skupieniu wyplatało pstrokaty kilim z muliny, żeby nieco ocieplić surowe wnętrza wielomodułowej stacji kosmicznej. Małe, cudaczne Licho o tęczowych oczach i policzkach pyzaty jak u berbecia. Może nie miało żadnych supermocy czy superakcesoriów (nie licząc bamboszków – te były super-super). Może nie było też wyjątkowo okazałe ani odważne, ani nawet szczególnie mądre. W zasadzie to było dość głupiutkie i łatwowierne. Za to wiedziało, gdzie w ogrodzie urządziły sobie gniazdo jeże, zawsze miało pod ręką plaster

i kawałek sznurka, świetnie temperowało kredki, nigdy nie łamiąc przy tym rysika, lubiło siedzieć godzinami pod kołdrą z latarką i czytać na głos komiksy (i to razem ze wszystkimi PIF-PAF!, BACH! oraz BUMMM!), robiło cuda i zawsze chętnie się dzieliło. Umiało też wydłubać żwir z rozbitego kolana i zacerować dziurę w spodniach, zanim mama się zorientowała, Co Też Zmajstrowali Tym Razem. Tak. Licho było dla Bożka nie tylko aniołem stróżem, lecz przede wszystkim najwspanialszym kompanem w przeróżnych sprawkach – od wielkich, choć nie zawsze udanych eksperymentów z grawitacją, przez konkurs w jedzeniu naleśników z cukrem pudrem aż po cowieczorne przesiadywanie w wannie, dopóki woda nie zrobi się lodowata, i śpiewanie na całe gardło wymyślanych na poczekaniu wariackich piosenek, których nijak nie szło potem powtórzyć. I doskonale zastępowało mu cały ten tam świat, o którym mówił wujek Konrad.

Głupi świat.

Spochmurniały Bożek podkraść się z powrotem pod kuchnię, w samą porę, by usłyszeć, jak mama sięga po Argument.

– Ty chyba zapominasz – zwróciła się do wujka – dlaczego postanowiliśmy nie posyłać go do przedszkola i dlaczego drugi rok uczymy go wspólnie w domu. Nie pamiętasz już o jego Przypadłości? A co, jeśli mu się... Przydarzy? Przy ludziach?

– Dobrze wiesz, że już od dawna mu się nie Przydarza za dnia. Bo jest na to za duży – wytknął jej wujek Konrad. I pewnie, jak to miał w zwyczaju, uśmiechnął się przy tym kpiąco, półgębkiem, jednocześnie unosząc wysoko czarną brew. (Bożek wiele razy próbował tak zrobić przed lustrem, lecz albo jego jasna, pogodna twarz nie działała jak trzeba, albo wujek coś oszukiwał).

Mama była jednak uparta i łatwo się nie poddawała. Cisnęła łyżeczkę na stół i zwróciła się do ostatniego sojusznika, jaki jej pozostał.

– Turu, nie stój tak! Powiedz coś!

Właśnie! Nagły przyływ nadziei o mało nie rozsadził Bożka. Poczciwy, dobroduszny wujaszek Turu na pewno coś powie! No, on to potrafił coś powiedzieć! I jak już powie, to powie, aż wujkowi Konradowi w piętę pójdzie! Wtedy mama się uspokoi i wszystko będzie jak dawniej, a Bożek będzie mógł zapomnieć, że podsłuchał tę ich rozmowę, jak gdyby nigdy nic wróci do salonu i wspólnie ze swoim małym aniołem stróżem usypie z piasku i brokatu pustynię w wielomodułowej stacji kosmicznej dla perskiego dżinna.

Lecz ciepły i tubalny głos wujaszka tym razem sprawił mu zawód.

– Już ty się nie bój. To jest zuch–chłopak, poradzi sobie choćby i z całym światem.

– Och, oczywiście, wam to łatwo powiedzieć! A jeśli pod wpływem stresu...

– Dobrze wiesz, że to tylko wygodna wymówka – uciął bezlitośnie wujek Konrad. – Mów, co chcesz, ale Bożek nie może tu zostać na zawsze. Ja... Wybacz, nie chciałem sięgać po ten argument, ale ja na pewno na to nie pozwolę.

– Ach tak? Bo co, bo to twój dom?

– Właśnie tak. Bo to mój dom.

I Bożek, ten sam Bożek, który nijak nie umiał zmusić swoich brwi do kpiny, teraz zmarszczył je gniewnie. Gdzieś w głębi jego duszy zatlił się bunt.

Głupi, głupi świat.

I głupi wujek!

Następnego ranka za oknem padał obrzydliwy deszcz ze śniegiem, a porywisty wiatr aż szarpał okolicznymi drzewami. Nic więc dziwnego, że Bożek wstał lewą nogą. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyli dorośli. Dorośli bardzo lubią proste, logiczne wyjaśnienia, które raz-dwa porządkują im świat, dzięki czemu mogą się skupić na czymś ciekawszym.

Albo ważniejszym. Albo po prostu czymś innym niż niepojęte dziecięce fochy. Dlatego z początku nie przejęli się tym zbytnio, chociaż z tego nadąsania chłopiec zjadł na śniadanie zaledwie dwa racuchy z jabłkami i dżemem jeżynowo-malinowym, a trzeciego zadźgał widelcem.

Tymczasem w Bożka jak gdyby zły duch wstąpił, bo z dnia na dzień nabzdyczał się coraz bardziej. Wszystko było nudne, głupie i w ogóle – książki były głupie, bo już wszystkie dawno przeczytał; gry planszowe były głupie, bo ciągle przegrywał; różowe króliki były głupie, a na dodatek nic tylko plątały się pod nogami i fukały z oburzeniem, kiedy się o nie potykał. I podziomek też był głupi, i dzinn, i wujaszek, który w końcu chyba zaczął coś dostrzegać, ale nic a nic nie rozumiał z tego całego Bożkowego naindyczenia. A najnudniejsze, najgłupsze i w ogóle było Licho. Łaziło za nim krok w krok i ciągle czegoś od niego chciało – a to pomóc, a to pocieszyć, a to przytulić. Ciągle coś! I było przy tym takie poczciwe i pełne najlepszych chęci, że Bożka aż skręcało w środku. Zupełnie jak wtedy, kiedy zjadł na raz całą tabliczkę mlecznej czekolady, zagryzł trzema krówkami i popił to wszystko oranżadą. Co nie było ani zbyt mądre, ani zbyt smaczne, prawdę mówiąc.

I tak samo jak wtedy Bożek w końcu nie wytrzymał.

Poranek spędził na strychu, gdzie razem z trzema widmami bawili się w dramat, czyli teatr. Widma były niemieckie i nosiły prawdziwe mundury z czasów prawdziwej wojny, a dramat – też niemiecki – polegał na tym, że dawno temu żyło sobie dwóch braci, z których jeden grasował ze zbójcami po lesie, drugi zaś siedział zamknięty w zamku i na wszystkich się złościł. Zwykle Bożek wolał odgrywać rolę tego pierwszego, jako że grasowanie po lesie wydawało mu się o wiele ciekawsze niż siedzenie w zamku, lecz nie tym razem. Wtrąciwszy ojca (czyli Armina) do wieży (czyli do wiklinowego kufra z pościelą), wlażł na szafę, skąd ciskał w Gotarda i Lotara kulkami naftaliny, coraz mocniej i mocniej, i z upodobaniem warczał po niemiecku: *Räuberrr! Räuberrrrrrrrrr!* (czyli „zbójca, zbójca”), aż widma się obraziły

i znikły.



(Dramat nazywał się *Zbójcy* i jak tłumaczyły widma, pochodził z „okresu burzy i naporu”. Ale wcale nie chodziło w nim o to, że wtedy często padało i wszystkim ciągle chciało się siku, tylko o to, o co aktualnie chodziło Bożkowi, czyli że cały świat jest głupi i w ogóle).

Zaraz po drugim śniadaniu Bożek zamknął się w swoim pokoju. Chciał być sam. Jak nigdy męczył go wszechobecny rwetes – szwargot widm, dudniące pomruki Krakera, niosące się rurami po całym domu, nieustanne tyrady Tsadkiela, który wszystko wiedział najlepiej, piskliwy głosik Licha i wiele innych dźwięków, tych ludzkich i tych mniej. Pewnie przyznałby rację wujkowi Konradowi, który za dnia wolał trzymać się z dala od całego towarzystwa, gdyby nie to, że wujek był przecież głupi, i już, więc nie mógł mieć racji, nawet jeśli ją miał. Rozdarty wewnętrznie Bożek zajął się więc poważnymi sprawami, to jest otworzył skrzynię i zaczął machinalnie grzebać w swoich skarbach.

Kwadrans później zabawa pochłoneła go bez reszty. Wywłókł z kąta pudło z drewnianymi klockami i wznosił z nich olbrzymi zamek, taki na cały pokój, z mnóstwem wież i ponurymi lochami. Zamierzał wtrącić do nich trzy żółte chrabąszcze, które wzniciły rebelię w królestwie, domagając się abdykacji różowego despoty, powołania Republiki Wolnego Plastikumu oraz chrząszczowych związków zawodowych. Brakowało mu jednak arcyważnego klocka, ostatniego w takim kształcie (pozostałe skończyły marnie, kiedy eksperymentował z dłutem i przekonał się na własnej skórze, że pewne rzeczy lepiej jednak robić pod okiem dorosłych, a dziury w dłoniach dość długo się goją, zwłaszcza takie Prawie Na Wylot). Poszukiwania zguby pochłoneły go do tego stopnia, że nie zwrócił uwagi na cichy szelest za plecami.

Naraz usługna rączka podsunęła mu właściwy klocek pod sam nos.

– Proszę bardzo, alleluja – powiedział mały anioł i kichnął.

Bożek odruchowo chciał sięgnąć po klocek, w ostatniej chwili jednak zmienił zdanie, jak gdyby nagle coś go ugryzło w palce.

– Nie pomagaj mi! – burknął, łypiąc na Licho spode łba. – Ja chcę sam!

– No... no ale... Niebożątko, alleluja... – zdążyło pisnąć, lecz chłopiec nie dał mu dokończyć.

– Nie jestem żadne Niebożątko! – krzyknął i zerwał się na równe nogi. –

Tylko Bożek! A ty nic nie rozumiesz! Ty w ogóle nic nie rozumiesz!

Istotnie, Licho nic nie rozumiało. Stało z klockiem w wyciągniętej ręce i oszołomione spoglądało na chłopca, który zaciskał zęby i patrzył na nie tak... tak... tak źle.

– Czemu ty taki jesteś? Ja tylko chciałem ci pomóc, ja ci zawsze pomagam...

– Och, czy ty musisz być takie... takie głupie?!

– Ale... ale przecież szukałeś tego...

– Ale chcę sam, słyszysz?! Sam! Bez ciebie! Oddawaj! – Bożek bez namysłu wyszarpnął Lichu klocek z dłoni tak gwałtownie, że aż poleciało z impetem prosto na prawie ukończony zamek. Runęły wieże, runęły lochy, zginęły trzy zbuntowane chrabąszcze wraz z różowym despotą.

W pierwszej chwili chłopiec i jego anioł zgodnie skamienieli, równie zaskoczeni i zdezorientowani takim obrotem sytuacji.

Sekundę później tęczowe oczy Licha zaszyły łzami, usta wygięły się w drżącą podkówkę i już, już się rozchyłały, żeby uwolnić przeciągły, żalony bek. Wystraszony chłopiec nie czekał jednak na efekty dźwiękowe, tylko od razu czmychnął – prosto do najbezpieczniejszej kryjówki, jaką znał.

Wujaszek Turu gnieździł się w niewielkim, niemiłosiernie zagraconym pokoju na parterze, gdzie dzień w dzień, a często również noc w noc, rzeźbił w drewnie, czyli jak sam mawiał, wiecznie strugał wariata. Spod jego ręki wychodziły skrzynie na pirackie skarby, miniaturowe smocze łodzie, takie w sam raz do wanny, wesołe zezowate aniołki, dziecięce kołyski i zabawki oraz mnóstwo innych cudów, które wystawiał potem na sprzedaż. Wujaszek był wielki i brzuchaty, miał gęstą brodę, jasne włosy aż do pasa i śmieszne krzaczaste brwi, spod których łypały pogodne oczyska. Z natury wiking, stolarz z pasji i niańka z przypadku, wciągał słodczyce nosem, umiał słuchać i pachniał trocinami.

Siedział właśnie przy roboczym stole i jak zwykle w czymś dłuwał, kiedy Bożek wpadł do środka jak burza i bez słowa klapnął na podłogę. Zmora, która drzemała na parapecie, rozkoszując się ciepłem kaloryfera, rozchyliła nieznacznie powieki.

– Cóż tam, jaśnie Bożęty? – wujaszek zagaił niezobowiązująco po dłuższej chwili milczenia, zerkając ukradkiem na chmurę gradową u swych stóp. Ale chłopiec ani myślał odpowiedzieć wujaszкови Turu czy chociaż spojrzeć w górę, tylko ostentacyjnie grzebał w niewielkim stosiku świeżych wiórów. – No, mówże. Co tam zmajstrowałeś?



– Nic – burknął Bożek i zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Już ja znam to twoje nic. Niby nic, a zawsze coś. No?

Chłopiec westchnął ciężko, przewracając przy tym teatralnie chabrowymi oczami, mało mu nie wypadły z orbit. Aż wreszcie, po kolejnych paru minutach, czara goryczy się przelała i zaczął opowiadać z przejęciem, co takiego zaszło na piętrze.

– ...i wtedy ono się rozbeczało jak jakiś głupi... głupek! – zakończył i spojrzał z wyrzutem na wujaszka, oczekując wsparcia słowem, myślą i uczynkiem.

Wujaszek z ciężkim westchnieniem odłożył struganego wariata i pokręcił głową.

– Oj, Bożku, Bożku. Świntuch jesteś.

– Nieprawda!

– Prawda.

– Bo się do mnie przyczepiło jak... jak... jakieś głupie!

– Chciało się tylko z tobą pobawić...

– Nieprawda!

– Bożęty, a jedzie mi tu czołg? No. Od dobrego tygodnia snujesz się jak smród po gaciach i psujesz atmosferę.

– NIEPRAWDA! – Chłopiec w pierwszym odruchu oburzył się szczerze. Ale spojrzenie wujaszka nie pozostawiało wątpliwości. On wiedział. Emocje znów zakotłowały się w Bożku jak skarpetki w pralce, splątane i nie do pary. – Bo... bo... bo to wszystko przez wujka!

– Przeze mnie?!

– Nie, przez WUJKA! – Widząc szczerze niezrozumienie w oczach wujaszka, chłopiec zebrał się w sobie i wyrzucił w końcu to, co mu tak nieznośnie od tych paru dni ciążyło. – Ja wszystko słyszałem! Jestem dziwactwem i wujek chce mnie wygonić z domu!

– Ale co sły... Ach! Nie, wcale, że nie...

– Wcale, że tak!

– A dasz ty mi zdanie dokończyć?! – huknął wujaszek pełną pierśią, aż Zmora, znowu wyrwana ze snu, spadła z miauknięciem z parapetu. Bożek położył uszy po sobie. Zazwyczaj wujaszek Turu był do rany przyłoż, ale jak się rozeźlił, to nawet przemądrzały Tsadkiel gryzł się w język, a brew wujka Konrada natychmiast wracała na swoje miejsce. Teraz przyglądał się przez chwilę chłopcu, jak gdyby się zastanawiał, z której strony ugryźć ten

problem. – Posłuchaj, bratku. Wujek wcale nie uważa cię za dziwoląga...

– Nieprawda!

– ...i wcale nie chce cię stąd wyganiać.

– Powiedział, że jestem dziwactwo i brzemienie...

– Nie brzemienie, tylko brzemię, czy ty mi będziesz ciągle przerywał?

– ...a ja nawet nie wiem, co to znaczy!

Turu westchnął głęboko.

– Brzemie to utrapienie, ciężar, uciążliwość, coś, co nam utrudnia życie.

Wujek po prostu przemyślał to i owo i doszedł do wniosku, że przyda ci się w końcu stały kontakt z rówieśnikami. Żywymi – uściślił na wszelki wypadek. – I takimi raczej ludzkimi. Wystarczy, że ta cała izolacja od świata jemu szkodzi na głowę.

Bożek przytaknął gorliwie.

– Wujek Konrad jest kąśliwy – wypalił, przypomniawszy sobie wreszcie, jakim słowem często opisywała go mama.

– Jak żmija – zgodził się wujaszek – ale tym razem ma rację. Dość siedzenia w domu. Powinieneś zacząć chodzić do normalnej szkoły.

– Czemu?

– Żeby poznać inne dzieci.

– Czemu?

– Bo to ci dobrze zrobi na charakter.

– Czemu?

– Bożęty! – Wujaszek pogroził mu palcem i nie był to gest tak do końca żartobliwy. – No! Zobaczysz, spodoba ci się. Będziesz miał koleżanki i kolegów, różne zajęcia, przygody, nauczysz się nowych rzeczy...

– Ale wujaszku – jęknął Bożek – przecież ja się w ogóle nie znam na dzieciach!

– Och, to proste. Są małe, głośne i strasznie uparte...

– NIEPRAWDA!

– ...a jak się wkurzą, to nawet własnemu aniołowi potrafią przyfasolić.

– Bo... bo ja jestem dzieckiem i jeszcze nie panuję nad emocjami! – zaprotestował Bożek, coraz bardziej rozżalony.

– Och, bez dwóch zdań – zgodził się wujaszek pogodnie. – I jest to jedna z tych rzeczy, których musisz się nauczyć, bratku. Bardzo wielu rzeczy. Lekcja pierwsza: jak się powiedziało a, to trzeba powiedzieć be, a czasem nawet i cacy. Cacy, cacy, bęc po... A, nie, wróć! – Zachichotał. – Bęc po glacy już zaliczyłeś! No, chodź, bratku – oczyścił dłonie z drewnianego pyłu i dźwignął się z krzesła – pora pójść i przeprosić.

– Nie chcę!

– Chcesz, chcesz. Gdybyś nie chciał, to nie siedziałbyś tu taki naindyczony. Zwyczajnie się wstydzisz. Ale to dobrze.

– Dobrze, że się wstydzę? – Bożek nie rozumiał, co może być dobrego w tak paskudnym uczuciu.

– Oczywiście. Każdy bywa świntuchem, ale jak się tego potem nie wstydzi, to już nie jest świntuch, tylko zwykły prosiak. Sam pomyśl. A gdyby Licho ci tak zrobiło i nie chciało przeprosić? Bo nie?

– Przecież Licho by nigdy... – zaczął chłopiec i wtedy do niego dotarło. To z niego był głupi głupek, nie z Licha. I świntuch. Licho może i było trochę... no, trochę za bardzo było, ale nigdy by się na niego nie złościło nie wiadomo o co, a już z pewnością nie przyfasoliłoby mu z tej głupiej złości klockiem. Ani w ogóle niczym. Przenigdy. A przede wszystkim od samego początku niczego by przed nim nie ukrywało. – No dobra... Przeproszę.

– Zuch–chłopak.

Bożek westchnął, wstał, otrzepał spodnie z wiórów i razem z wujaszkiem wyszedł na korytarz.

A tam czekała na niego mama, która była bardzo zła, i Licho, które było bardzo zasmarkane i zapłakane, i wujek – sarkastyczny, kaśliwy wujek Konrad, którego ciemna brew już wędrowała w górę czoła, usta wyginały się w półuśmiechu, a zmrużone oczy spoglądały kpiąco na Bożka i zdawały

się pytać: „A nie mówiłem?...”.

Decyzja zapadła. Bożek musiał iść do szkoły.

Licho umiało dziergać rzeczy. Coraz lepiej radziło sobie z czapkami, z wprawą wytwarzało rozmaite przytulanki i pacynki, szaliki produkowało na metry, a w bamboszkach już dawno zostało mistrzem świata i okolic. Umiało też świetnie rysować, malować i przyklejać (zwłaszcza siebie), jak również ozdabiać, zazwyczaj przesadnie. Ale jego naj-naj-bardzo-największą pasją i niezaprzeczalnym talentem było sprzątanie. Najlepiej wszystkiego i wszędzie. Sprzątało, czyściło, porządkowało, zamiatało, odkurzało, przecierało na sucho bądź na mokro, pucowało, myło, polerowało, oporządzało, szorowało, picowało i przywracało idealny ład wszędzie, gdzie tylko postawiło stopę (szczególnie jeśli wcześniej stopę postawił tam Bożek, który bałaganił tak, jak oddychał, czyli bez angażowania świadomości, lub różowe króliki, które bałaganiły jeszcze bardziej). Wujek Konrad śmiał się, że jak Tsadkiel składał się z dezaprobaty, perfekcjonizmu i ustawicznych napomnień, tak małe Licho było zbudowane z cukru, dobroci i niepohamowanego pędu do porządku i czystości.

Za to nijak nie umiało się gniewać. Więc kiedy Bożek się rozbeczał i zaczął przeproszać, że on wcale nie chciał, że on już nigdy, przenigdy, to Licho też się rozbeczało i z miejsca mu wybaczyło – i złość, i tajemnicę, i rozbite kolano. Gorące kakao i świeże ciasto drożdżowe z kruszonką przypieczerowały zgodę.

– No dobrze, alleluja – rzekło Licho, kiedy miało już pełen brzusek, a na dnie kubka zobaczyło... cóż, wyłącznie dno, co było widokiem, owszem, spodziewanym, lecz i tak bardzo przykrym. – To o co w ogóle chodzi z tą szkołą?

Bożek wzruszył ramionami, zbyt pochłonięty zbieraniem ostatnich okruchów kruszonki ze swojego talerzyka, żeby udzielić innej odpowiedzi.

Mały anioł spojrział więc wyczekująco na większego kolegę po fachu. Tsadkiel, który siedział razem z nimi przy kuchennym stole, w sposób metodyczny sporządzał właśnie listę zakupów w kolejności alfabetycznej, z podziałem produktów na grupy tematyczne. Jak zwykle zamierzał do niej załączyć plan hipermarketu z wytyczoną optymalną trasą.

– Według obowiązującej ustawy – zaczął, nie odrywając od kartki ani wzroku, ani długopisu – jest to instytucja mająca na celu kształcenie dzieci, młodzieży i dorosłych według przyjętych w danej społeczności koncepcji oświatowo-wychowawczych w zakresie umiejętności społecznych, czynności intelektualnych, sprawności fizycznej, dbałości o bezpieczeństwo, wychowania poprzez sztukę...

– Sztukę czego? – przerwało mu zaintrygowane Licho, Bożek zaś zapytał jednocześnie:

– A ta sztuka to mogą być *Zbójcy*? Bo ja jestem bardzo dobry w *Zbójcach*, znam już na pamięć cały akt pierwszy i cały drugi, i pół trzeciego! Znaczy, to mniejsze pół, ale...

– Doprawdy, alleluja! – Urażony ich niepoważnym podejściem Tsadkiel zgarnął swoje papiery ze stołu i z godnością opuścił kuchnię, a Licho czym prędzej podreptało za nim, bo koniecznie musiało wiedzieć, czy to jest jedna zbójcka sztuka wychowania na łebka, czy na caluśką szkołę.

Ponieważ duży anioł odmówił dalszej współpracy, zaczęli męczyć i dręczyć w temacie szkoły ludzkich mieszkańców domu. Przydybani w trakcie obiadu mama, wujek Konrad i wujaszek Turu jak zaczęli snuć wspomnienia przy pierwszym daniu, tak jeszcze nad podwieczorkiem nie mogli skończyć. Tym sposobem Licho i Bożek, nasłuchując czujnie znad swoich talerzy, dowiedzieli się, że w szkole:

- lekcje są dość nudne;
- chyba że nie są, ale to tylko czasem;
- trzeba zawsze słuchać pani;
- i siedzieć prosto w ławce;

- za to na przerwach można siedzieć krzywo, ale nie wolno biegać;
- gąbka do tablicy trochę śmierdzi;
- i materace na sali gimnastycznej też;
- obiady jada się w stołówce;
- i czasem dają zupy owocowe;
- albo siekaną wątróbkę;
- albo mortadelę w panierce;
- (cokolwiek to było);
- i kompot, który akurat wcale nie jest taki zły;
- na dużej przerwie wszyscy dostają mleko z kozuchem, bo takie jest zdrowsze;
- i trzeba zjeść wszystko, co na talerzu, nawet jeśli jest okropne i śmierdzi;
- i czasem jeździ się na wycieczki;
- i w ogóle wszystko robi się razem;
- jak ktoś jest niegrzeczny, to musi siedzieć w ławce z dziewczyną;
- (albo z chłopakiem, jeśli jest dziewczyną);
- a prezenty szóstego grudnia przynosi Dziadek Mróz;
- chyba że mu się nie zaśpiewa ładnie piosenki lub nie powie wierszyka, to wtedy nie.

Turu i Konrad wdali się w gorącą dyskusję o wyższości kompotu wiśniowego nad wodą z sokiem malinowym. Mama z kolei tłumaczyła zaintrygowanemu Krakowskiemu, z czym się serwuje mortadelę, podczas gdy Licho usiłowało dojść, jak właściwie ubiera się mleko w kozuch i czy nie jest mu aby za gorąco.

Bożek natomiast siedział jak mały słup soli i ze zgrozą myślał o jednym. Wycieczki.

Opowieści dorosłych nie pozostawiały żadnych wątpliwości – wycieczki polegały na wyjeżdżaniu, wyjeżdżanie bywało krótsze lub dłuższe, dłuższe zazwyczaj prowadziło do nocowania, nocowanie zaś nieuchronnie wiązało

się ze spaniem. A spanie to było coś, czego Bożkowi nie było wolno robić poza domem. Absolutnie i Pod Żadnym Pozorem.

Mając świeżo w pamięci, że długotrwałe naburmuszenie średnio popłaca, Bożek podjął dręczący go temat już w trakcie wieczornej kąpieli.

– Ale ja nie chcę!!! – protestował jękliwym głosem spomiędzy kłębow piany.

– Bożku, po raz dwudziesty ci powtarzam, że nie będziesz musiał nigdzie jeździć – powtórzyła cierpliwie mama, choć wcale nie po raz dwudziesty, co najwyżej dwunasty. – Czekaj, jeszcze za uszami.

– Aaau, podrapałaś! – zaprotestował z przekrzywioną głową. Woda z pianą spływała mu na ukos przez czoło, o włos omijając oko. – AAAUUU!

– To myj się sam! Guciu, zostaw ten szampon – mama fuknęła na potwora, który taplał się razem z chłopcem. – Zostaw. Zooostaw!... Dobry Gucio.



Gucio zabalgotał i natychmiast wetknął wolną mackę do odpływu, drugą upuścił mydło, które błyskawicznie złapał trzecią, czwartą wycisnął pastę na szczoteczkę do zębów, którą trzymał w piątej, a szóstą poprawił na głowie czepek kąpielowy w żabki. Pozostałe macki urządzały tymczasem w wannie bitwę morską z udziałem mydelniczki, plastikowej syrenki, łysiejącego kucyka i gumowej Godzilli.

– A jeśli mi każą jechać? – drążył chłopiec, zdrapując szorstką gąbką warstwę żałoby za uszami, i obrzucił mamę uważnym spojrzeniem.

– Nie każą – odparła spokojnie.

Ach, już on znał ten jej spokój! Zwykle, kiedy patrzyła na niego pokrzepiająco, tak jak teraz, oznaczało to, że owszem, za chwilę BĘDZIE bolało, a może nawet szczypało i piekło, choćby wszyscy inni zaprzeczali, że skądże, nic a nic nie poczuje, dzielny chłopiec. A mama nigdy nie kłamała. Mamie można było wierzyć. Ale z jakiegoś powodu tym razem Bożek wcale się nie uspokoił. Wprost przeciwnie.

– A JEŚLI?!

Starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie, mama westchnęła głęboko – tak głęboko, że aż zdmuchnęła wielki kłęb piany z głowy Bożka, na co potwór zareagował niepohamowanym zachwytem.

– MRRROAGHHHTPFFFFFFFFFF!!! – zbulgotał na całe gardło, cisnął zabawki na oślep, uniósł macki wysoko w górę i jak nimi nie plasnął! Bożek pisnął, mama wrzasnęła, a cała woda w ułamku sekundy wystąpiła z wanny prosto na podłogę i wymknęła się szparą pod drzwiami ciasnej łazienki, by pozwiedzać sobie bardziej przestronny korytarz.

Katastrofa kąpielowa sprawiła, że tego dnia Bożek całkiem zapomniał o wycieczkach. Rano, tuż po przebudzeniu, wspólnie z Lichem i Guciem poważnie omówili sprawę i postanowili przeprowadzić symulację szkoły w warunkach kontrolowanych. Niestety, nigdzie nie znaleźli ani Dziadka Mroza, ani siekanej wątróbki, ani dziewczyn, jedynie karton mleka w lodówce i kozuch na strychu, dlatego musieli improwizować.

Byli właśnie w połowie symulacji, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Do środka zajrzał wujek Konrad – i zbaraniał na progu.

– Co tu... przepraszam, co... co tu się wyprawia?...

Pośrodku pokoju dyndał z żyrandola Gucio i pięcioma mackami naraz, bujając się i pomrukując przy tym z lubością, mazał kredą po rozstawionej

pod ścianą tablicy. Tu i tam dało się wyłowić wzrokiem pojedyncze litery, cyfry czy symbole, ale większość maziaków układała się wyłącznie w chaos. Kolorowy pył sypał się na lewo i prawo, osiadał na meblach albo w szparach między deskami wiekowej podłogi, skąd przy każdym kroku na powrót wzbijał się w powietrze. Nic więc dziwnego, że wszyscy raz po raz kichali – kichał Gucio, sprawca całego zamieszania, kichał Bożek, który stał na baczność tuż przy tablicy z linijką w garści, kichało Licho, które co prawda kichało zawsze, ale teraz jakby bardziej, i próbowało powstrzymać różowe króliki przed pożarciem zapasu kredy z wiaderka, i kichał podziomek, który przycupnął w dużo za dużym kozuchu na parapecie i ze smętną miną obgryzał drewniane liczydło, popijając drewniane koraliki mlekiem prosto z kartonika. Trzy niemieckie widma ze strychu też kichały, gdy tak siedziały przed tablicą na stołeczkach i z kolanami pod brodą oraz oszołomieniem w oczach usiłowały powtarzać za Bożkiem:

– Jesteśmy jagódki...

– Jeszszsz... jeszteszszsz... my... czo?

– Ja-gód-ki – powtórzył Bożek wyraźnie, sylaba po sylabie, dla lepszego efektu wymachując linijką jak dyrygent batutą. Linijka była plastikowa i podniszczona, ale wystarczyło nią poruszyć, żeby uwięzione w środku brokatowe rybki zaczęły migotać i pływać w udającym wodę glutku. Efekt ten szalenie przypadł do gustu Guciovi, który zbulgotał z wyżyn żyrandola i sypnął od serca kredowym pyłem, jak gdyby był wróżką. Tylko taką wielką. I z mackami.

– Ja... ja... gutt... ja gutt... jaguttky... – dukały widma jedno przez drugie, usiłując nie potykać się o co bardziej zdradliwe głoski, świszczące, szeleszczące i skrzypiące.

– Czarrne jagódki.

– Tsz... tszszsz... tszaarrrrrrrrrne jaguttky...

– Mieszkamy w lesie zielooonyym!

– ...YYYYYYYYYM! – widma z ulgą i zaangażowaniem zawyły wespół

w zespół, uznając, że braki w polszczyźnie nadrobią głośnością i entuzjazmem.

– Oczka mamy czarne, bużki granatooo... ooo, cześć, Kondziu! – pisnęło Licho radośnie. – Bawimy się w szkołę, alleluja! Znaczy, chyba w szkołę. – Zafrasowało się nieco i zerknęło na różowego króliczka, którego przed momentem wyłowiło z wiaderka. Pyszczek miał cały niebieski od kredy. Spod pachy, zadkiem do góry, wystawał aniołowi drugi króliczek, równie różowy i puchaty, za to dla odmiany usmarowany na białe. – Znaczy, nie jesteśmy pewni, w co się bawimy... ale się bawimy!

– Aha. Bawicie się. To... dobrze. Może... może ja tu tylko nieco poprawię... – Wujek Konrad delikatnie starł z tablicy bardzo ładnie nakreślony zielony pentagram. – Tak. Tak lepiej.

– Pobawisz się z nami? Zaraz będziemy liczyć... albo i nie – dokończyło Licho, spojrzawszy z wyrzutem na podziomka, który właśnie przętykał i o mało się przy tym nie udławił. Prychnął, aż mleko poszło mu nosem, świsnął, czknął i wypluł ostatni drewniany koralik. A potem smarknął, wytarł nos o kołnierz kozucha i zabrał się do metodycznego obgryzania ramki. – Ojej, alleluja... Czy mamy może patyczki? – zapytało Bożka.

Chłopiec podrapał się linijką po głowie.

– A mogą być takie do uszu?

– Tak!

– To nie mamy.

Wujek odchrząknął, starając się zapanować nad krnąbrną brwią, która już mu podrygiwała, i rzekł:

– Chciałem wam tylko dać to, żebyście... żebyście mieli... no. – Wręczył aniołowi książkę w barwnej, twardej oprawie.

– *Idę do szkoły* – przeczytało Licho, pociągając nosem. – Ooo, alleluja! To instrukcja użytkownika?

– Coś w tym stylu. Albo jak kto woli, skrócony podręcznik przetrwania. Widzę, że się wam przyda... – dodał wujek pod nosem, obrzucając ostatnim

sceptycznym spojrzeniem zamazany pentagram, widma walczące z polszczyzną i apatycznego podziomka. – Przyswoisz to do końca wakacji – zwrócił się do Bożka – i już wszystko będziesz wiedział.

Do końca wakacji... Chłopiec i mały anioł spojrzeli po sobie. No tak. Po raz pierwszy w życiu Bożka po wiosnie nastąpić miało nie zwyczajne, beztroskie lato, które miało w nosie kalendarz, lecz wakacje – ostatnia chwila oddechu przed pierwszym prawdziwym rokiem szkolnym.

A potem rozkwitły bzy i wróciła Puk.

Z Puk to było tak.

Jak wyjaśnił raz Bożkowi wujaszek Turu, strugając przy tym kolejnego wariata, Puk była hamadriadą, czyli duszą drzewa, i tak jak drzewo zimowała, by odżyć na wiosnę. A że drzewa, jak dowiedli naukowcy, wywierają kojący wpływ na ludzką duszę i ciało – czyli działają jak plaster w małpki, gorące kakao i ciepły kocyk w jednym – dlatego co roku, kiedy Puk powracała do starego domu, wszystkim od razu poprawiał się humor. (Należałoby dodać, że wraz z Puk wracało również słońce, ptaki, motyle, kwiaty i piaskownica, więc może to też dlatego).

Bożek lubił Puk. Nawet bardzo. Lubiał jej długie włosy, które falowały, jak gdyby nieustannie igrał z nimi wiatr. Lubiał jej opalizującą skórę, mieniącą się niczym bańki mydlane w blasku słońca, i wielkie, niebieskie oczy. Zawsze igrała w nich radość, ale to taka, że wystarczyło w nie raz zerknąć, a już samemu chciało się śmiać i śmiać. Tak jak śmiała się Puk – bez głosu, którego nie miała, lecz całą sobą, od czubka jasnej głowy aż po bosc pięty.

Puk była hamadriadą i kochała wujka Konrada, a wujek Konrad kochał ją. Dla niej całkiem zapominał o pracy i porzucał swoją samotnię, żeby przez kilka bezcennych miesięcy przesiadywać od świtu do zmierzchu w ogrodzie i chłonać na zapas to, co z życia najlepsze – miłość i słońce. (Oraz czerwoną porzeczkę, którą uwielbiał). Bożka nie przestawało dziwić,

jak ktoś tak radosny może kochać kogoś tak kąśliwego i jak bardzo obecność hamadriady potrafiła odmienić wujka. Przeszawał marszczyć czoło, jego brew się uspokajała, na ustach często gościł uśmiech, a na kolanach – Licho. Bo dawno temu Licho, co Bożka dziwiło już w ogóle najbardziej, było aniołem stróżem wujka i wciąż kochało go całym anielskim serduszkim. Nasycony słońcem, porzeczką i miłością Puk i Licha wujek Konrad już nie wydawał się wcale taki głupi. Nie krzywił się nawet, gdy go tak obsiadali we trzech, mały chłopiec, mały anioł i mały potwór, tylko czytał im i czytał godzinami albo opowiadał własne, wymyślone na poczekaniu historie, strasznie wesołe albo strasznie straszne. Bożek najbardziej lubił tę wesołą o królu dżdżownic, któremu pewnego dnia korona wpadła do kibelka. Niestety, wujek rzadko dawał się na nią namówić, bo uważał, że jest głupia i bez polotu, ale to przecież nie powinno nikogo dziwić, skoro dżdżownice nie latają, no bo jak?

Tak więc każdego roku, gdy tylko rozkwitły bzy i Puk budziła się z zimowego snu, wszystko się zmieniało. Stary dom ożywał i zaczynał się ten najwspanialszy ze wszystkich czas. Czas długich i ciepłych dni, czas okien otwartych na oścież, czas buszowania po ogrodzie, podjadania owoców prosto z krzaczka, tarzania się w świeżo skoszonej trawie (dopóki mama nie zobaczyła plam na ubraniach), czas szaleństw w stawie, nocowania w namiocie i jedzenia pieczonych ziemniaków prosto z ogniska, chociaż parzyły język i palce. W taki czas jak ten nikt nie myślał o tym, co przyniosą odległe jesienne miesiące. A przynajmniej nie myślał o tym Bożek, gdy tak od rana aż do nocy wspólnie z Lichem i Guciem grasował po na wpół dzikim ogrodzie. Zaraz po śniadaniu pędzili na grządki obok domu, gdzie kibicowali krzaczkom pomidorów, które dzielnie pięły się ku słońcu, sprawdzali, jak bardzo urosły od wczoraj zawile ogórkowe wąsy, podlewali zagon truskawek albo wyrywali wszędobyłskie chwasty – i tylko czasem z rozpędu ogołocili coś więcej, na przykład cały rząd fasolki szparagowej. (W zasadzie to dwa, ale ten drugi szybko posadzili

z powrotem i nikt nic nie zauważył, więc się nie liczy).

Widma też opuściły swój strych i teraz codziennie uwijały się wokół domu, naprawiając to, co przez zimę zdążyło się obluzować, przekrzywić czy w inny sposób zepsuć. Raz Bożek, z Guciem na plecach i głowie, wspinał się za nimi po naprawdę wysokiej drabinie i pomagał im łątać dziury w dachu, co było bardzo emocjonujące, aż przyszła mama i zaczęła strasznie wrzeszczeć – co z kolei było bardzo śmieszne, bo wrzeszczała do nich po niemiecku, żeby ją dobrze zrozumieli, a to jest naprawdę śmieszne, kiedy ktoś stoi na trawniku w samej koszulce nocnej i kapciach i na całe gardło wrzeszczy: *DONNERWETTER!!!* A z dachu odpowiada mu wniebowzięte bulgotanie małego potwora, który myśli, że na tym właśnie polega zabawa. Co prawda potem przez tydzień cała piątka miała szlaban na lody, ale było warto. Choćby dla tego *Donnerrrrrrrrrrwetterrrrrrrrr!*

A gdy wszystkie ważne prace na dany dzień dobiegały już końca, przychodziła pora na nieskrępowaną zabawę. I wtedy mogli wszystko. Mogli tańczyć z Puk wokół jej drzewa. Puszczają bańki mydlane, póki nie skończył im się płyn do mycia naczyń. Jeść arbuza, nie martwiąc się ściekającym po rękach sokiem, a potem pluć pestkami do celu. Śmiać się z byle czego, póki nie dostali czkawki, żeby śmiać się z niej jeszcze bardziej. Pić miętową herbatę z kostkami lodu. Łuskać słodki zielony groszek, a z łupinek robić łódeczki i urządzać bitwy morskie na tafli stawu. Taplać się w tymże stawie. (Przy jednej z takich okazji próbowali urządzać konkurs puszczania podwodnych bąków, ale wtedy utopiec się strasznie rozłościł i ich pogonił, ciskając w nich nakręcaną żabą). Mogli też eksplorować chaszczę i wądoły na tyłach domu, co było zawsze zajęciem najciekawszym z ciekawych, jako że chaszczę te nie tylko ZDAWAŁY SIĘ nie mieć końca – one go NAPRAWDĘ nie miały. Wystarczyło, że Licho poszło przodem i zrobiło te swoje anielskie cuda, i naraz tam, gdzie jeszcze przed momentem napotykali ogrodzenie, teraz pojawiał się kolejny zakręt i kolejny, i jeszcze jeden, a za nim najprawdziwsze ostępy, tylko troszeczkę

mniejsze, pełne wspaniałych kryjówek i przygód, dzikich ptaków, jeży, zajęcy i tłustych, włochatych pajaków.



Tak. Latem w ogrodzie mogli wszystko i mieli wszystko – maliny, jeżyny, truskawki i borówki, pomidory i ogórki prosto z krzaczka, fasolkę szparagową, żółtą jak słońce, agrest, czerwoną porzeczkę, jabłka, małe

i pryszczate, ale słodkie niczym miód, i trawę, kwiaty, drzewa, staw i ognisko nad stawem, i nocne wypatrywanie spadających gwiazd, choć zwykle jako pierwsze opadały im powieki, a gwiazdy wciąż trzymały się mocno na niebie.

Po cóż był im jakiś tam świat?

Tego roku lato obrało wyjątkowo burzliwy przebieg. Nie było tygodnia, żeby niebo choć raz nie poczerniało i zaczęło pomrukiwać groźniej niż Krakery, gdy ktoś znowu zostawił okruszki w maselniczce. Wówczas Bożek rzucał wszystko i gnał ile sił w nogach na samiuśki strych. Ileż dźwięków niesło się wtedy po domu, docierając echem aż do czeluści piwnicy! Grzmoty przetaczały się leniwie po niebie, strugi ulewnego deszczu bębniły o dach, podzwaniały drżące rynny, tu i tam klekotała oblużowana dachówka. Rozgrzane upałem deski i krokwie trzeszczały, skrzypiały i trzaskały, kiedy chłodniejsze powietrze wdzierało się z porywami wiatru do środka przez otwarte okna, przyprawiając szyby o dreszcze. Cały dom, od więźby aż po fundament, wygrywał jedyną w swoim rodzaju melodię letniej burzy, a Bożek miał miejsce w pierwszym rzędzie.

Czasem zaś, gdy się zdarzyło, że ulewa zastała go w ogrodzie, chłopiec przysiadł na najniższym stopniu ganku, z głową wciąż pod daszkiem, za to z nogami wyciągniętymi daleko, jak najdalej przed siebie. Palcami bosych stóp chwycił długie źdźbła soczystej trawy i śmiał się, kiedy tak śmiesznie piszczały. Wtedy ulewa brzmiała zupełnie inaczej. Szumiała i szeleściła w krzakach i drzewach, szemrała o taflę stawu i choć nie omieszkała od czasu do czasu przypomnieć światu donośnym dudnieniem, że jest czymś więcej niż zwykłym oberwaniem chmury, jednocześnie łechtwała figlarnie skórę gołych Bożkowych nóg. Utopiec wystawiał łeb z wody i wytrzeszczał i tak wyłupiaste oczyska, pływając się we wszechobecnej wilgoci. Licho leciało do kuchni i powróciwszy czym prędzej z dwoma kubkami kakao, przysiadło obok swego chłopca. Grali wtedy w „widzę coś koloru...” tak

długo, aż kończyły im się kolory i zaczęli wymyślać nowe, na przykład paznokciowy albo siniakowy, albo totamtocosiowy. A ilekroć przez niebo nad ich głowami przewalał się kolejny grom, po trawniku przed nimi z kolei przewalał się Gucio, machał mackami w stronę chmur i wydawał z siebie błogie *pfomp-pfomp-pfomp*.

Lato pełne małych cudów mijało im wśród śmiechu i wygłupów, nic więc dziwnego, że całkiem zapomnieli o wielkiej zmianie, która zbliżała się nieuchronnie. Aż wreszcie nadszedł Ten Dzień.

Nie żeby było to coś niezwykłego – w końcu Ten Dzień nadchodził co roku, więc nikt nie czuł się szczególnie zaskoczony, że nadszedł i tym razem. Jak zawsze w drugiej połowie sierpnia, gdy w wieczorne powietrze wkradały się pierwsze sugestie chłodu, wujek Konrad pakował torbę i wyjeżdżał gdzieś razem z Puk, jak najdalej od miasta. Żeby nacieszyć się samotnością we dwoje, tłumaczył Bożkowi wujaszek Turu, choć to przecież nie miało zupełnie sensu, no bo co to za samotność, kiedy wcale się nie jest samemu? Tak czy siak, wyjeżdżali, tylko on i ona, i wracali dopiero w przeddzień jesieni, kiedy oczy hamadriady pomału zasnuwała już senna mgła. Puk zapadała w letarg liczony miesiącami bez słońca, a wujek zamykał się w swoim pokoju, znów małomówny i spochmurniały.

Ale w tym roku było trochę inaczej. Bo tuż przed wyjazdem wujek zostawił Bożkowi prezent.

Rano, kiedy chłopiec doczłapał do kuchni, oprócz talerza ze śniadaniem ujrzał na stole wielkie pudło ze swoim imieniem. Oczywiście natychmiast musiał zajrzeć do środka, chociaż Krakers bulgotał z niezadowoleniem, że jajecznicza wystygnie i będzie niedobra. Ale jak Bożek mógłby przejmować się jajecznicą, nawet ze szczypiorkiem, skoro w środku odkrył takie wspaniałości! Najprzeróżniejsze kredki, flamastry i farby, bibuły i równie kolorowy papier, długie pudełko plasteliny, modelinę, bloki duże i bloki małe, zeszyty, w kratkę i w linię, wieczne pióro z zapasem nabożów, ołówki, gumki, linijki i najprawdziwszy cyrkiel, którym Bożek od razu

ukłuł się w palec, no ale jak inaczej miałby sprawdzić, czy jest ostry? (Cyrkiel, nie palec). I jeszcze piórniki, ale nie byle jakie, tylko naprawdę wielkie, z mnóstwem miejsca na wszystko, a nawet więcej, do tego zaś, ukryty na samym dnie pudła, był jeszcze najfantastyczniejszy plecak na świecie, z odblaskami i w wielobarwne kleksy.

– Ten Konrad to jednak umie w wyprawki – rzucił wujaszek Turu, kiwając z uznaniem głową nad tą eksplozją artykułów papierniczych, która ogarnęła cały stół i sporą część kuchennej podłogi. – Za to jak zwykle nie umie w umiar...

Bożek wyciągnął pokłuty palec z ust.

– Wyprawki? A co to takiego?

– Takie tam różne potrzebne bambetle, dla bobasa albo o – wujaszek skinął brodą na zagracony stół – dla uczniaka. Z okazji... okazji. Konrad już raz dostał podobnego amoku, akurat kiedy miałeś przyjść na świat. – Uważając, żeby nie wywinąć orła na rozsypanych ołówkach, wujaszek Turu precisnął się na drugi koniec pomieszczenia i pstryknął czajnikiem, po czym wyciągnął z szafki kubek i wrzucił do niego herbatę w torebce. – W środku nocy świńskim truchtem pognął do hipermarketu i wykupił za jednym zamachem pół działu dziecięcego. Twoja matka prawie się przewróciła, kiedy przytaszczył toto do domu. Teraz najwyraźniej napadł na papierniczy...

– A ty, wujaszku? – z miejsca zainteresował się chłopiec. – Ty też mi coś kupiłeś, kiedy miałem się urodzić?

– Ja, szanowny Bożęty, na tę radosną okoliczność wyciosałem ci kołyskę. Własnoręcznie! – dodał i zaprezentował swe niedźwiedzie łapska, na wypadek gdyby chłopiec miał wątpliwości, o których rękach mowa.

Chabrowe oczy Bożka, i tak wielkie z natury, teraz zrobiły się jeszcze większe. Dobrze wiedział, o jakiej kołysce mowa – wciąż stała na strychu, gdzie w razie potrzeby służyła chłopcu i trzem widmom za rekwizyt w scenach szczególnie dramatycznych jako karoca. Albo okręt. Albo

złowieszcze otchłanie bez dna. Była wielka, drewniana, na płozach szerokich niczym w saniach Świętego Mikołaja. Bożek wciąż się w niej mieścił – co prawda już tylko na siedząco, ale jednak.

– Wujaszku... – bąknął ostrożnie, mając przed oczami wyrzeźbione na kołysce straszliwe smoki, węże oraz inne fantastyczne stwory, których człowiek prędzej by się spodziewał w dziecięcych koszmarach niż na pierwszym łóżeczku niemowlęcia. – Tak sobie myślę, że ona chyba też liczy się jako amok.

– Ale taki ty-ci-tyci – odparł wesoło wujaszek i puścił do niego oko nad kubkiem parującej herbaty.

Bożek chętnie wysłuchałby jeszcze paru historii o tym, co też się wyprawiało na okoliczność jego narodzin, lecz do akcji wkroczyły potężne macki Krakera. W mgnieniu oka zgarnęły cały bałagan z powrotem do pudła, usadziły chłopca przy stole i stanowczo podetknęły mu pod sam nos talerz ze śniadaniem. Pomruk, od którego zabrzęczały wszystkie naczynia w kuchennych szafkach, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Karmienie domowników było dla pradawnego potwora sensem życia i bardzo się denerwował, kiedy ktoś mu w tym przeszkadzał.

Ostatni tydzień sierpnia upłynął pod znakiem Naprawdę Wielkich Przygotowań. Ponieważ na co dzień Bożek nie tyle sprzątał swój pokój, ile na bieżąco zarządzał panującym tam chaosem, znalezienie wolnego miejsca na szkolne przybory okazało się nie lada wyzwaniem. Na szczęście miał Licho.

Gdy szło o zaprowadzenie porządku, Licho, choć niepozornej postury, nie uznawało kompromisów. Od razu wyciągnęło gumowe rękawice, które sięgały mu daleko za łokieć, do tego przeróżne gąbki, szczotki, szmatki i ściereczki do wszelkich powierzchni, jakie znała ludzkość, a także baterię środków bardzo czyszczących, które już samą wonią sprawiały, że brud zaczynał poważnie rozważać wyprowadzkę. Licho nie brało też jeńców, dlatego bez ceregieli zagoniło do roboty i Bożka, i Gucia, i nawet różowe

króliki, ponieważ doskonale mieściły się pod meblami i wyciągały spod nich wszystko, od zaginionych puzzli aż po zmumifikowane resztki tosta z zeszłego miesiąca. Samo wzięło się za walkę z pokładami lepkiego kurzu, podczas gdy mały potwór, przyssawszy się do framugi, pucował okno na wysoki połysk, w planach mając jeszcze pranie firanki i wytrzepanie dywanu. Pokój świeżo upieczonego ucznia musiał lśnić czystością.

Bożek tymczasem siedział z boku i w wielkim skupieniu porządkował swój osobisty dobytek. Wcale nie dlatego, że Licho spojrzało na niego groźnie i tak kazało. Po prostu czuł, że tak trzeba, że aby pójść dalej do przodu, musi coś za sobą zostawić. Miał już przecież prawie dziewięć lat i szedł do prawdziwej szkoły, żeby siedzieć w prawdziwej ławce i uczyć się prawdziwych rzeczy. Jego skarby wydawały mu się takie... nieprawdziwe. Te, które postanowił zachować, lądowały w skrzyni pod oknem – na przykład kolekcja wielofunkcyjnych chrząszczy, czacha z plastikowego marmuru czy kalejdoskop – pozostałe zaś w kartonowym pudle. Tym samym, w którym dostał wyprawkę od wujka Konrada, a które teraz miało dołączyć do kołyski na strychu.

Pierwszego września pokój był wysprzątny, zeszyty obłożone i podpisane, kredki zatemperowane. Bożydar Antoni Jekiełek z duszą na ramieniu powędrował do szkoły.

Przez cały dzień punkt po punkcie weryfikował opowieści dorosłych. Szkoła była trochę fajna i trochę nie.

Na przykład wychowawczyni – pani Marzena – była bardzo fajna. Krąglutka jak kuleczka, człowiek-kuleczka o oczkach-paciorkach i zaraźliwym perlistym śmiechu. Bożek od razu ją polubił, właśnie za ten śmiech. Podnosił go na duchu.

Sama szkoła też była fajna. Mieściła się w starym, dwupiętrowym budynku z czerwonej cegły. Bożek dobrze znał drogę, bo przy tej samej ulicy znajdowała się cukiernia, do której czasem chadzał z wujaszkiem.

Z okazji rozpoczęcia roku szkolnego szyby w oknach na parterze przyozdobiono nalepkami w kształcie motyli i kwiatów, a zawieszony nad wejściem transparent z napisem WITAJ, SZKOŁO!!! nieco przytłaczał entuzjazmem. Obok, na niewielkim przyszkolnym podwórku, rosły trzy rozłożyste kasztanowce, a na nich pęczniały zielone, kolczaste torebki, pełne brązowych owoców, które już wkrótce miały posypać się na ziemię i stać zastępami koślawych ludzików w żółdziowych czapczkach.



Dzieci... cóż. Dzieci po prostu były. Wszędzie naokoło, we wszystkich kolorach i rozmiarach. I były strasznie, ale to strasznie głośne. Bożek nigdy dotąd nie słyszał takiego harmidru, a przecież mieszkał w domu, w którym aż roiło się od ludzi i innych przedziwnych stworzeń, a każdy skrawek podłogi wydawał jakiś dźwięk. Na szczęście dzieci szybko rozbiegły się do swoich klas, gdzie trochę przycichły i znieruchomiały, dzięki czemu mógł

się im lepiej przyjrzeć. One również przyglądały się nowemu z zainteresowaniem. Czuł to, gdy tak siedział z nieśmiałym uśmiechem, próbując się nie czerwienić jak pomidor na krzaczku.

– Dzieci, pora przedstawić wam nowego kolegę – oznajmiła wychowawczynie, gdy już powitała klasę po wakacjach. – Dotąd uczył się w domu, a od dzisiaj dołączy do naszej klasy. Kolega ma na imię... – zerknęła szybko do notatek – ...yyy... Darek?

Piętnaścioro trzecioklasistów jak jeden mąż wlepiło w nowego spojrzenie, w którym ciekawość mieszała się z czujnością. Pani się zawahała już przy imieniu, a zatem coś tu było nie tak z tym nowym!

Bożek przełknął ślinę.

– Nie Darek, tylko Bożek – poprawił szybko, a potem przypomniał sobie, co mawiał wujaszek Turu. Że nie ma napięcia, którego nie dałoby się rozładować odpowiednią dawką tegesu i humoru. Co to takiego ten cały teges, tego niestety nie zdołał jeszcze ustalić, bo ilekroć wujaszek chciał mu to zaprezentować w praktyce, wpadała mama z awanturą, siłą rzeczy postawił więc na humor. Odchrząknął zatem, po czym dodał: – Ale taki bez panteonu.

Wychowawczynie zaśmiała się z dowcipu.

Ale dzieci już nie, tylko tak dziwnie na niego popatrzyły.

I to właśnie było nefajne.

Licho obudziło się w nastroju osobliwym.

Usiadło na łóżku i zmarszczyło brwi, próbując ustalić, co takiego w zasadzie czuło. A czuło bardzo. Nie był to głód. Nie było to pragnienie. Pociągnęło nosem, po czym kichnęło trzy razy z rzędu, aż mu się zakręciło w głowie – nie, uczulenie na własne pierze też nie wykraczało poza normę. To było coś innego. To uczucie. Coś je wyraźnie uwierało, ale nie w pupę (sprawdziło) ani w resztę niewielkiego anielskiego jestestwa. Chociaż... może jednak?...

Zeskoczyło na podłogę i wyłowiło spod łóżka swoje bamboszki. Nie były już tak mięciutkie jak przed miesiącem, gdy dopiero co je wydziergało z żółciutkiej włóczki. Straciły na puchatości i trochę się udeptały. Co wcale nie znaczyło, że były gorsze. Po prostu się zmieniły.

W ogóle wszystko się zmieniło, odkąd Bożek zaczął chodzić do szkoły. Po pierwsze, musieli teraz wcześniej wstawać. I to codziennie. Lekcje zaczynały się punktualnie o ósmej, co od poniedziałku do piątku oznaczało koniec z leniwymi porankami i śniadaniem w piżamie. (To znaczy w tych piżamach to byli oni, Bożek i Licho, nie śniadania. Aczkolwiek zdarzały się też śniadania NA piżamach, szczególnie gdy w grę wchodziły duże ilości dżemu. Dżem bardzo lubił się lepić do piżam. A taki na przykład miód z jakiegoś powodu wołał skarpetki, dlatego skapywał od razu na podłogę i tam się czaił na bezbronne ofiary).

Teraz każdego dnia w pół do siódmej Licho wyciągało protestującego Bożka z pościeli i człapało za nim do łazienki. Choć w teorii mogło jeszcze sobie pospać chwilę lub dwie, to w praktyce wołało przypilnować chłopca, ponieważ trochę zbyt często jak na anielski gust próbował szorować zęby metodą bezdotykową. Wtedy też zaczynało się ciągłe poganianie. Najpierw przy ubieraniu – „ubieraj się, Bożku”, powtarzało Licho z rosnącą rezygnacją. „Bożku, halo, ziemia do Bożka. Ubieraj się. Bożku, no alleluja!” – potem przy śniadaniu, a potem znowu przy ubieraniu, tyle że odzieży wierzchniej. Mały anioł nigdy by nie przypuszczał, że włożenie bluzy i dwóch tenisówek może zajmować aż TYLKO czasu!

Po drugie, w zderzeniu z codzienną rutyną Bożek, dotąd uroczy, zwariowany wiercipięta, okazał się straszliwym roztrzepańcem. Zapominał o wszystkim, ledwo mrugnął. Rano nigdy nie pamiętał, gdzie odłożył ubranie, choć osobiście je sobie przygotował poprzedniego wieczoru. Jeszcze gorzej było z zawartością jego plecaka, która zdawała się rozpełzać, gdy tylko Bożek na moment odwrócił wzrok, i chować w najmniej oczekiwanych zakamarkach. Zwykle wychodziło to na jaw przy obiedzie,

kiedy padało sakramentalne pytanie:

– No, Bożku, masz dzisiaj coś zadane?

– Nie wiem – odpowiadał wówczas Bożek z nosem zwieszonym nisko, tuż nad talerzem pełnym zupy.

– To sprawdź w zeszyście.

W chabrowych oczach chłopca pojawiał się wtedy Ten Wyraz, który Licho rozpoznawało bez pudła – Bożek kombinował. Dorośli też już wiedzieli, co się święci, bo patrzyli po sobie, wzdychając zgodnie. ZNOWU. W końcu ktoś zadawał pytanie pomocnicze:

– A gdzie masz zeszyt?

– Nie wiem... – bulgotał z nosem coraz niżej i niżej.

– No to sprawdź w plecaku.

Oczywiście zaraz się okazywało, że Bożek nie wiedział też, gdzie ma plecak. Albo śniadaniówkę. Znikały mu również ołówki, kredki masowo dostawały nóg, pojemniczki z farbkami jeden po drugim wybierały wolność, a zapasowe naboje do pióra czmychały z piórnika razem z gumką. Początkowo Licho podejrzewało Gucia o współudział w tej niekończącej się serii zaginięć i zawieruszeń, lecz mały potwór zaprotestował z oburzeniem. Owszem, zjadł Bożkowi kilka kredek i flamaster, ale wyłącznie te czerwone, bo smakowały trochę jak budyń waniliowy z sokiem malinowym i nie mógł się oprzeć. Reszty nie ruszał. (Znaczący, rzeczywiście, próbował też zielonych, były jednak zbyt kwaskowate, więc tylko raz polizał, po czym z obrzydzeniem schował je do piórnika). Każde zadanie domowe musiała zatem poprzedzić obława na zaginione rzeczy, w trakcie której po całym domu niosło się echem „Bożku, czy ty nigdy?“, „Bożku, czy ty zawsze?“, „Doprawdy, alleluja!“, na co Bożek miał niezmiennie jedną i tę samą odpowiedź: „Nie wiem“.

Po... które? Ach, tak, trzecie – no więc po trzecie, pewien wycinek Bożkowego życia nagle stał się niedostępny dla małego anioła. Od wpół do ósmej, kiedy za chłopcem zamykały się drzwi, aż do wczesnego

popołudnia. Całkiem-całkiem. W związku z czym Licho nagle czegoś nie rozumiało. Nie wiedziało. Nie znało. Słuchało, oczywiście, że słuchało! W słuchaniu nie miało sobie równych! I teraz bardzo, bardzo się starało słuchać jeszcze lepiej. Całym malutkim, zasmarkanym sobą słuchało więc szkolnych opowieści i zadawało naprawdę mnóstwo pytań. Próbowало wyobrazić sobie szkołę i klasę, i dzieci, i kuleczkową panią, próbowало jakoś włączyć się w tamten świat, codziennie zasiadając razem z Bożkiem do lekcji (gdy już odnaleźli zaginiony zeszyt) albo czytając z nim do poduszki zadaną lekturę (o ile ją też znaleźli – lekturę, nie poduszkę, bo pościeli chłopiec raczej nie gubił). Ale nawet gdy Bożek opowiadał mu ze szczegółami o tym, co na przerwie zrobił Kajtek, to ów Kajtek miał głos Bożka i jego słowa, i gesty, i twarz, nie był więc Tak Do Końca Prawdziwym Kajtkiem.

A po ostatnie – jak zmienił się rytm ich dnia, tak pomału zaczął zmieniać się i sam Bożek. Chłopiec, którego Licho niegdyś karmiło przetartą marchewką, kołysało, tuliło i lulało, gdy płakał albo nie mógł zasnąć, z którym tarzało się w śniegu i trawie, codziennie wracał troszeczkę inny, a ono go coraz bardziej nie rozumiało. Co gorsza, zaczął się też złościć – co samo w sobie nie było niczym niezwykłym, bo zdarzało mu się często, tyle że teraz jak zaczął, to wcale nie chciał przestać. Gdy tylko stawał w drzwiach, jego żale natychmiast rozprzestrzeniały się po całym domu, razem z zeszytami i kredkami o wszelkich smakach. (Może to dlatego ciągle się tak gubiły? – zastanawiało się Licho. Może uciekały przed Bożkową złością o wszystko?).

– OSZUKAŁAŚ MNIE! – krzyknął raz na mamę.

Mama uniosła brew.

– Ach, tak? A w jaki to sposób? – Wyciągnęła rękę, żeby wziąć od niego plecak, ale chłopiec ani myślał go ściągać. Zamiast tego spojrział na nią spod byka.

– Bo ty mówiłaś, że to żaden wstyd czegoś nie wiedzieć, a teraz wszyscy

się ze mnie śmieją, bo ja ciągle czegoś nie wiem!

– Oczywiście, że nie wiesz. I właśnie po to chodzisz do szkoły, żeby się dowiedzieć.

– WCALE ŻE NIE!

I koniec, przypadło, po tych słowach Bożek zaciął się na amen. Nie było riposty na „wcale że nie”, żadnego antidotum, cudownego sposobu, magicznego zaklęcia, żadnej tajemnej ścieżki, która pozwalałaby dotrzeć do dawnego, wesołego Bożka.

– JA NIE WIEM, CO TO JEST FIFA!!! – wybuchnął innym razem, przy obiedzie, mniej więcej w połowie drugiego dania. – Wszystkie chłopaki wiedzą, co to jest FIFA, tylko ja nie wiem!

– Za to wiesz, co to panteon i czym się różni od patefonu – odpowiedziała mama – i umiesz powiedzieć *Binnenschiffahrtskuterkajutenschlüssel*, nawet gdy masz katar i czkawkę. A teraz jedz buraczki, Niebożątko.

– Nie jestem Niebożątko, tylko Bożek i nie lubię buraczków!

– Ach, tak? – zdziwiła się mama. – A od kiedy?

– Od wczoraj!

– Przecież wczoraj zjadłeś.

– WCALE ŻE NIE!

I co z tego, że pół domu widziało, że zjadł.

– A MICHAŁ TO MA TRZY TRANSFORMERSY, A JA ŻADNEGO! – złościł się trzy dni później, wpadając do pokoju wujaszka z wymiętoszoną gazetką w ręce. – I NAWET NIE WIEM, KTÓRY TO SAJDSŁAJP!!!

– Bożęty, ja nawet nie wiem, co to ten transformers, a jakoś żyję – rzekł wujaszek Turu, który właśnie wydłubywał oczka drewnianemu smokowi.

– Bo ty jesteś DOROSŁY – odparował Bożek buntowniczo. – Dorośli nigdy nie wiedzą Takich Rzeczy!

Wujaszek odłożył na chwilę dłuto i obrzucił badawczym spojrzeniem gazetkę, którą chłopiec podsunął mu niemal pod sam nos. Na okładce trzy

wielkie kolorowe roboty przeżyły swe mechaniczne muskuły.

– I to jest naprawdę takie ważne, tak? – zapytał po długim namyśle.

– TAK.

– No to mogę ci takiego dziada wystrugać, jeśli chcesz. Mam tu nawet taki zgrabny pniaczek, o. Się przeszlifuje, wystruga, przeciągnie akrylem i będzie wypasiony transformers w stylu eko. Eko jest teraz szalenie modne.

– WCALE ŻE NIE!

No i masz. I tak za każdym razem.

Licho ze wszystkich sił starało się pomóc. Jakoś rozweselić chłopca, pocieszyć albo co. Powinno, no bo przecież było jego aniołem stróżem, prawda? Jego własnym, najwłaśniejszym. Lecz Bożek tylko na nie burczał i już o niczym mu nie opowiadał, a wieczorem, kiedy Licho sięgało po książkę, obracał się do niego plecami i udawał, że śpi i nic a nic nie słyszy.

– Daj mu się pozłościć – powtarzał cierpliwie Turu, głaszcząc małego anioła po główce, ustawicznie teraz zatroskanej. – Gdzie ma się złościć, jak nie tu, we własnym domu?

– Nigdzie, alleluja! – Zmarszczyło czoło Licho. Siedziało na parapecie ze zwieszonymi skrzydłami, nasłuchując zza ściany wzburzonych pomruków i bulgotów. Tym razem Bożek wrócił do domu cały w pretensjach, dlaczego pradawny stwór wycina mu na drugie śniadanie muchomorki z rzodkiewek i marchewek, skoro Tomek i Bartek najbardziej lubią teraz kanapki z pasztetem i ogórkiem, więc Michał i Kajtek, i Witek też najbardziej lubią teraz kanapki z pasztetem i ogórkiem, więc Karol i Franek też, więc on sam również najbardziej lubi teraz kanapki z pasztetem i ogórkiem i nie chce dostawać do szkoły niczego innego, i w ogóle jak Krakery może tego nie wiedzieć!!! Turu bardzo długo musiał uspokajać potwora i tłumaczyć, że nie, nie wolno mu zrobić użytku z patelni ani nawet z macki, bo dzieci się nie bije i już, choć owszem, czasem by się chciało gada udusić w potrawce.

Licho westchnęło.

– Przecież złość jest niemiła, alleluja – pisnęło i pociągnęło zasmarkanym nosem. – Wszyscy się kłócą i krzyczą, i bulgoczą... – zza ściany dobiegł łoskot spadających garnków – ...i w ogóle. Na co komu taka złość? Nie lepiej zjeść ciasteczko?

Turu uśmiechnął się dobrodusznie znad kawałka drewna.

– Złość może się nie podobać, ale jest bardzo potrzebna. Żeby się człowiekowi żółtko nie ścięło na amen. Na nasze nieszczęście Bożek jest... hm... dynamiczny w okazywaniu uczuć. Nie tylko radości, złości też – dodał. – A w jego życiu zaszła wielka zmiana, dlatego mamy, co mamy.

– Czyli co?

– Czyli przekichane.

I jakby na potwierdzenie jego słów Licho kichnęło.

– Ale po co to mamy? – zafurczało smętnie. – Nie możemy mieć czegoś miłszego? Na przykład szczeniaczka?

– Ogary poszły w las, Liszko drogie. Czy raczej Bożek poszedł do szkoły, między dzikie dzieci. Musi je teraz oswoić, nadrobić wszystko, czego one uczyły się od maleńkości. I musi sobie z tym radzić sam. A to nie jest łatwa sprawa z tymi dziećmi.

– Ja bym z nim poszło...

– Byś poszło – przytaknął Turu – i my byśmy też poszli, ale nie pójdziemy. Nie tym razem. Tym razem możemy go tylko wspierać. Znosić cierpliwie te jego fochy, mówić, tłumaczyć, przypominać o tym, co naprawdę ważne...

– Ale on nie słucha! – zaprotestowało Licho.

– Ale słyszy – zauważył Turu i mrugnął do anioła porozumiewawczo. – A to już coś. Więc mów, mów jak najwięcej. A nuż coś się przebijie do tej jego nadąsanej złocistej łepetynki.

Spojrzał ze współczuciem na przybite Licho. Odłożył dłuto i drewno na stół, podszedł do siedzącego na parapecie anioła i pogładził go

pocieszycielsko po głowie.

– Nie możesz go zawsze prowadzić za rękę, mój ty maluśki aniele. Czasem niestety musisz się wycofać i patrzeć, jak sobie radzi sam. Nawet wtedy, kiedy chciałobyś wkroczyć najbardziej.

– Ale to jest straszne! Przestraszne! Prze... przynajstraszniejsze!!!

– Wiem, Liszko. Wiem. – Cmoknął anioła w zmarszczone czółko. – Ale wiem też, że znajdziesz jakiś sposób, żeby mu zółtko wróciło na miejsce.

I znalazło.

Pewnego wieczoru, już po kąpieli i kolacji, Licho zajrzało nieśmiało do pokoju Bożka. Chłopiec leżał na swoim łóžku, twarzą do ściany, opatulony kołdrą po sam nos jak kokonem. Znów był obrażony na cały świat. Pod łóžkiem migotały na przemian zaspane Guciowe oczka.

Licho przycupnęło na stołeczku. W rękach trzymało podniszczoną książeczkę – niewielką i cieniutką, z okładką sklejoną taśmą, która zdążyła już zżółknąć i stwardnieć ze starości. Nie pamiętało nawet, skąd się u nich wzięła, wiedziało jednak, że właśnie w niej znajdzie pewną bajkę. Trochę straszną (a w zasadzie to nawet całkiem), którą Bożek kochał najbardziej ze wszystkich, odkąd usłyszał ją po raz pierwszy wiele lat temu, chociaż nawet nie wiedział, jak się kończy, bo brakowało kilku ostatnich stron.



Otworzyło więc książeczkę, zebrało się w sobie i zaczęło cichutko czytać, zerkając raz po raz w stronę naburmuszonego kokonu:

Czyj galop tak tętni w wichrze i ćmie?

To ojciec z swym synem na koniu w cwał rwie,

to ojciec swe dziecię w czas wiezie spóźniony

i grzeje, ogarnia mocnymi ramiony.

Ucichło, niepewne, wyczekując jakiegokolwiek reakcji.

– Mój synu... – dobiegło naraz spod ściany i Licho aż kichnęło ze szczęścia! Turu miał rację, Bożek naprawdę SŁUCHAŁ!

– Mój synu – podjęło czym prędzej, starając się wczuć w tekst i jak najlepiej oddać Nastrój Straszliwej Grozy – *wciąż z lękiem twarzyczkę zastaniasz...*

– *Nie widzisz, mój ojcze, jak elf nas dogania?*

Król elfów w koronie... i wlecze swój płaszc...

– *Mój synku, mgła wstała, mgła wlecze się, patrz!*

*„Pójdź do mnie, chodź do mnie, chłopczyno, bez obaw!
Znam ślicznych gier mnóstwo, chodź, pobaw się, pobaw!
I pełno mam kwiatów na brzegach mych wód,
a matka ma chowa złocistych szat w bród...”*

– *Mój ojcze, mój ojcze, czyś tego nie słuchał,
co elf mi obiecał, naszeptał do ucha?*

– *Uspokój się, synku, uspokój się, mały,
to wiatr tak w olszynach liść rusza, liść stłaty.*

*„Chodź, piękny mój chłopcze, w te olchy... chodź ze mną,
me córki troskliwie hołubić cię będą.
Me córy tam tańczą, nim zejdzie świt,
wspiewają... whuśtają i ciebie w swój rytm...”*

– *Mój ojcze, nie widzisz, tam, w cieniu, przy drzewie
Król elfów mnie wabi do swoich królewien.*

– *Mój synku... mój synku... sokoli mam wzrok:*

To stare trzy wierzby szarzeją przez mrok...

Nim wybrzmiała ostatnia zachowana zwrotka, spał mały potwór pod łóżkiem, spał mały chłopiec w kołdrzanym kokonie, a mały anioł znów uśmiechał się radośnie.

– Cały tatuś – wujek Konrad sucho skwitował Bożkowe fochy.

Gdy wraz z nadejściem astronomicznej jesieni wrócił do starego domu, jego oczy już nie śmiały się do świata. Lato dobiegło końca, a wraz z nim czas hamadriady, która znów zapadła w długi sen – sen o słońcu, o deszczu i szczęściu. Z każdym dniem zmierzch przychodził trochę szybciej, trochę wcześniej, a wujek przygasał, aż został z niego blady, posepny cień. Coraz rzadziej wyściubiał nos ze swego leża i tylko czasem przemykał w milczeniu korytarzami, rzucając na lewo i prawo złe spojrzenia, by nikt nie zakłócał jego Świętego Spokoju. A to właśnie uparcie robił Bożek, jak gdyby coś w niego wstąpiło. Nie było teraz dnia, żeby te dwa kąśliwe słowa nie rozbrzmiały z jakiegoś powodu.

Cały tatuś.

Z jednej strony Bożek, słysząc to raz po raz za swoimi plecami, aż się cały najeżał, ale z drugiej coś w nim pęczniało z radości i dumy. Cały tatuś! Dotąd stawał przed lustrem i wypatrywał w swoim odbiciu tamtej twarzy, tak mu bliskiej, równie bliskiej co twarz mamy, a przy tym tak obcej, bo nigdy niewidzianej – i wiedział już, że ma po tacie chabrowe oczy i szalone blond pukle, przed którymi kapitulował każdy grzebień i każda szczotka – ale czy tata krył się gdzieś jeszcze? Gdzieś głębiej?

„Cały tatuś”.

Cały, czyli jaki?

– Postrzelony – rzuciła krótko mama, nie odrywając wzroku od komputerowego monitora. – I to wielokrotnie. A teraz nie przeszkadzaj, muszę to jeszcze dzisiaj skończyć.

– Lubił frotki. I robótki ręczne. I kwiatki. I wiersze. Wiersze to nawet za bardzo – odpowiedziało Licho po długim namyśle, a Krakę przytaknął mu energicznie macką i zbulgotał jeszcze coś o konfiturach, cierpieniu i wielokropkach. Możliwe jednak, że Bożek się przesłyszał, no bo dlaczego ktoś miałby cierpieć z powodu konfitur? Nie mówiąc już o wielokropkach, przecież wielokropki nie gryzą ani nic. Chociaż... kto wie? Interpunkcja nie była jego najmocniejszą stroną, może znów coś przeoczył?

Ale przynajmniej odkrył, że tata lubił wiersze. To zupełnie tak jak on! I może nawet znał na pamięć prawie całych *Zbójców*? Albo tę straszną balladę o elfowym królu, którą Bożek lubił najbardziej?

– Coś tam ciągle plótl trzy po trzy, ten twój tatuńcio – zarechotał utopiec, kiedy chłopiec przepytał już wszystkich domowników mieszkających pod dachem i zawędrował nad staw. – Amator kwaśnych jabłek.

– Och, ja też lubię kwaśne! – ucieszył się szczerze Bożek, na co zielony stwór przewrócił wyłupiastymi gałami i z bulgotem zniknął pod powierzchnią wody.

Kogokolwiek by jednak wypytywał o tatę, każdy na koniec dodawał:

– Najlepiej zapytaj Konrada.

Co w zasadzie zamykało temat.

Cóż, a przynajmniej do czasu, kiedy chłopiec wrócił ze szkoły z zadaniem domowym. Samo narysowanie drzewa nie powinno mu nastroić większych trudności, zwłaszcza gałęzi – Bożek naprawdę świetnie rysował gałęzie, a przy liściach to go już całkiem ponosiło – lecz tym razem miało to być drzewo szczególne, bo genealogiczne. Dlatego musiał zacząć od dołu. Zamieścił napis *BOŻYDAR ANTONI JEKIEŁŁEK* na szerokim, brązowym pniu, po czym wyprowadził od niego dwa konary, jeden dla mamy – i ten konar zaraz rozczapierzył się w kolejne odnogi, a te w kolejne i w kolejne, i tak dalej – drugi zaś dla taty.

Tu jednak nic się nie chciało rozczapierzyć.

– Naprawdę nic nie wiesz? Ale naprawdę-naprawdę? – kolejny raz dopytywał Bożek, klęcząc nad całkiem pustą połową pięknej, zielonej korony i udając, że wcale nie chce mu się płakać. Wcale.

– Przykro mi, kochanie – rzekła mama łagodnie, udając, że wcale nie zauważyła wzbierającej rozpaczy. – Twój tata odszedł... naprawdę nieoczekiwanie. Nie zdążyłam poznać jego rodziny ani... Nie, czekaj, czekaj... – Nagle o czymś sobie przypomniała. – Wiesz co? – dodała po zastanowieniu. – Możesz tu dorysować wujka Konrada. Przecież jest spokrewniony z twoim tatą. Bardzo, bardzo daleko, ale jest.

Bożek pociągnął nosem.

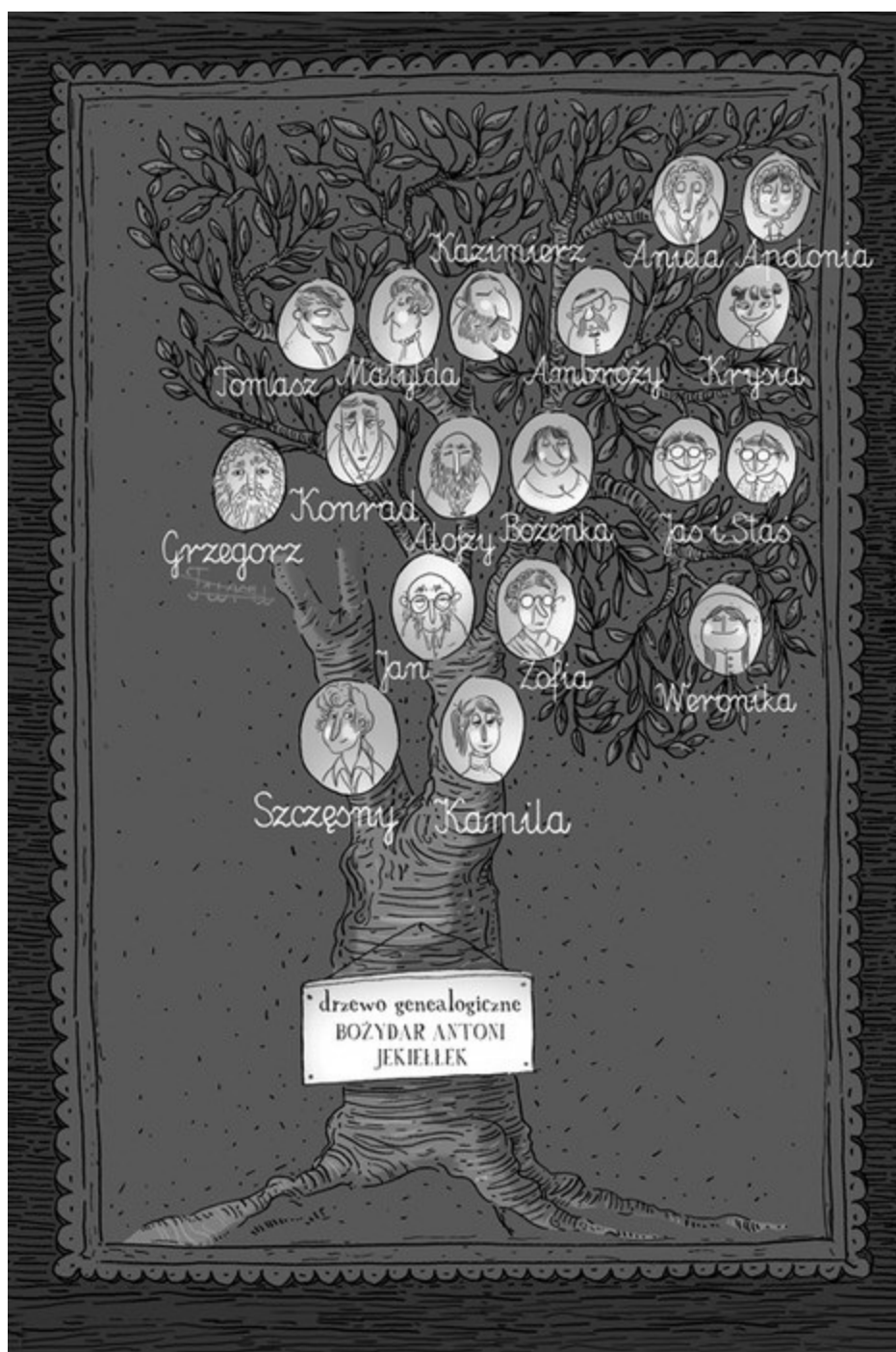
– A to się liczy? Takie bardzo, bardzo daleko?

– Oczywiście, że tak. – Zmierzwiała niesforne pukle syna i uśmiechnęła się, gdy podniósł na nią rozpogodzoną buzię. – Rodzina to rodzina, jak bardzo by była daleka... i szalona. Tylko... tylko poprzestań na ludziach, dobrze? Żywych ludziach – uściśliła, tak dla pewności. W tym domu nie wszystko było takie oczywiste, jak mogłoby się wydawać.

Bożek spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Ale przecież dziadkowie już nie żyją. To ich też mam pominąć?...

– Owszem, nie żyją – zgodziła się mama – ale w przeciwieństwie do paru osób z naszej wesołej rodziny oni akurat nie żyją stanowczo i nieodwołalnie. Raczej nie spędzają wieczności na czyimś strychu, bawiąc się z dziećmi w niemiecką dramaturgię.



Tym sposobem do samotnego napisu SZCZĘSNY (gdyż tak miał na imię tata) dołączyli i KONRAD, i TURU też, żeby mu nie było przykro, wraz z całym mnóstwem gałęzi i przodków. (TURU został zaraz starty gumką i poprawiony na GRZEGORZA, bo tak, jak ze zdumieniem odkrył Bożek, naprawdę miał na imię wujaszek).

A że chłopiec nie oszczędzał ani kredek, ani bibuły czy brokatu, drzewo

genealogiczne wyszło mu naprawdę imponujące i zawisło na samym środku klasowej ściany. Chociaż Witek upierał się, że nie powinno, bo to zaledwie pół drzewa, bo wujkowie się nie liczą, wyłącznie mama i tata, i rodzeństwo, i może jeszcze dziadkowie, ale wujkowie to już na pewno nie. Na szczęście pani tak nie uważała i pozostałe dzieci też nie, szczerze zachwycone dziełem Bożka, co ucieszyło go chyba nawet bardziej niż szóstka za zadanie domowe. To i odkrycie, że ma z tatą więcej wspólnego, niż dotąd przypuszczał.

Pewnego październikowego popołudnia, chociaż było już całkiem ciemno i zimno, a deszcz padał nieprzerwanie od trzech dni i ani myślał przestać, Bożek przyleciał ze szkoły niemalże na skrzydłach. Wychowawczyni ogłosiła, że zbliża się Halloween, dlatego równo za tydzień zamiast piątej i szóstej lekcji odbędzie się bal przebierańców!

W całym domu zapanowało wielkie poruszenie. Krakery z entuzjastycznym bulgotem zaczęli przetrząsać spiżarnię w poszukiwaniu składników na sto jeden przekąsek w stu jeden smakach, żeby na pewno zdążyć z produkcją. Dorośli zlecieli się do kuchni i zawiśli nad głową Bożkowi, który pochłaniał obiad, próbując jednocześnie słuchać ich rozmowy, odpowiadać na pytania i nie zadławić się pierogiem.

– Tydzień to strasznie mało czasu, żeby się przygotować – utyskiwał wujaszek, głaszcząc się w zadumie po gęstej brodzie. – Nie mogli powiedzieć wcześniej?

– Przecież nie będziemy mu szyc tego kostiumu! – odparł na to Konrad.

– Nie?...

– A co, będziemy?

– Bratku, mówisz i masz, już grzeję singera!

– Czekaaj, przecież nawet nie wiemy, co to ma być! Zaraz się okaże, że nie będziesz grzał singera, tylko miechy, bo sobie młody wykoncypuje rycerską zbroję. Razem z koniem.

– Chyba nawet mam takiego konia – odparł niezrażony Turu. – Osobiście polecam jednak kostium ducha. Jestem naprawdę dobry w ducha.

– Niech no zgadnę. Z prześcieradła.

– Ale bez gumki! – zaznaczył wujaszek. – Nieśmiertelna klasyka.

– Już widzę, jak Tsadkiel pozwala ci wziąć prześcieradło i uduchowić.

– Już widzę, jak go pytam o zgodę...

– Chwila, moment! – mama w końcu zdołała wejść im w słowo. – Może zanim zaczniecie kuć konie z prześcieradła, najpierw zapytajmy Bożka, za kogo chciałby się przebrać.

Dorośli w końcu spojrzeli na chłopca, który właśnie przeżuwał przedostatniego pieroga. Sęk w tym, że nie miał pojęcia, za kogo chciałby się przebrać, chociaż głowił się nad tym przez całą drogę ze szkoły do domu. Oraz pięć ruskich pierogów ze śmietaną.

– Mamo, a ty za kogo najchętniej się przebierałaś, kiedy chodziłaś do szkoły? – zapytał i szybko wgrzył się w szóstego pieroga, żeby zyskać na czasie.

– Och, za kogo... Ach, no tak. Za Pocahontas. – Mama zaśmiała się do wspomnień, które ją opadły. – Zaplatałam sobie dwa warkocze z kolorowymi sznurówkami, żeby były bardziej indiańskie. Miałam nawet prawie prawdziwy łuk i kołczan, dopóki nie dziabnęłam Daniela strzałą w oko.

– Niechący?

– Niekoniecznie. Widzisz, Daniel nie ogarniał konceptu przestrzeni osobistej. Strzałę w oku ogarnął już bez trudu. Ale pamiętaj, nie wolno dziabnąć kolegów strzałą w oczy – dodała pospiesznie. – Ani niczym innym. Koleżanek zresztą też.

– A ty? – zaciekawiony Bożek zwrócił się do wujaszka. – Za kogo ty się przebierałaś?

– Ja, drogi Bożęty, to najbardziej lubiłem przebierać się za klauna. A potem troszkę wyrosłem z kostiumu i w trzeciej klasie na balu

karnawałowym byłem muchomorkiem. Miałem w dechę kropeczki.

– A ty, wujku? Kim byłeś?

– Wyrzutem sumienia – zachichotał Turu.

Wujek Konrad zgromił go wzrokiem, po czym odparł spokojnie:

– W przedszkolu rok w rok przebierałem się za kota. Natomiast w czasach szkolnych na topie był już Zorro. No i księżniczki, wiadomo. Księżniczki są ponadczasowe.

– Więc byłeś Zorrem?

– Czy księżniczką?

– Byłem wampirem – odparł wujek, puszczając mimo uszu kolejny docinek, i naraz uśmiechnął się szelmowsko, a jego brew na ułamek sekundy powędrowała w górę czoła. – Biegałem po całej sali i straszylem dzieci, że nawiedzę je tej nocy. Pół klasy nie zmrużyło wtedy oka. No? A ty? Wiesz już, za kogo chcesz się przebrać?

Lecz Bożek pokręcił głową.

– A twoi koledzy? – wujek nie odpuszczał. – Wiedzą? Może chciałbyś przebrać się podobnie?

– Tomek przebiera się za Spidermana – powiedział Bożek. – Więc Bartek też przebiera się za Spidermana. Więc Michał i Kajtek, i Witek też przebierają się za Spidermana. Więc Karol i Franek...

– Okej, chyba już załapaliśmy – przerwał mu wujek Konrad. – Oni też będą Spidermanem.

– Nie, Karol i Franek będą trupami.

– Jakimi znowu trupami?

– No takimi gwiazdnymi. W takich białych zbrojach z plastiku i z takimi pistoletami, co robią pcium-pcium. Szturm... szturmtrupami. Ale... ale ja...

– Urwał i spuścił wzrok na talerz, upstrzony smugami śmietany. – Ja wcale nie chcę być szturmtrupem – wypalił w końcu, odrobinę się przy tym rumieniąc. – Ani Spidermanem. Nie lubię Spidermana.

– Więc bądź tym, czym chcesz. – Wujaszek wzruszył potężnymi

ramionami, aż zatrząsał mu się brzuch. – W czym problem?

– Że ja właśnie nie wiem, czym chcę! – jęknął chłopiec w odpowiedzi.

– Batmanem?

– Kowbojem?

– Policjantem?

– Rycerzem?

– Naprawdę wyrośniętą marchewką?

Mama i wujaszek rzucali kolejnymi propozycjami, aż wreszcie Konrad, który zastanawiał się przez cały ten czas, postanowił im przerwać.

– Bożku, może w takim razie bądź czymś, co cię nie schowa przed światem, tylko pokaże, kim naprawdę jesteś? – rzekł cicho. – Czymś, co naprawdę, ale to naprawdę lubisz albo z czego jesteś szczególnie dumny. Czymś wyjątkowym, co chciałbyś pokazać całemu światu, żeby polubił to tak samo mocno jak ty.

I naraz Bożek uśmiechnął się tak szeroko, że ledwie mu się ten uśmiech zmieścił na twarzy.

– Już wiem! – zawołał. – Chcę się przebrać za Licho!

– Twój kostium jest dziewczynski – orzekł Witek głośno i wyraźnie.

Na te słowa w szkolnej szatni zapadła cisza. Zaskoczony Bożek popatrzył najpierw na Witka, potem na pozostałych kolegów, a w końcu na siebie.

Prace nad kostiumem na bal przebierańców trwały cały tydzień. Początkowo Bożek chciał po prostu pożyczyć od małego anioła jedną z koszulek, żeby było Autentycznie Anielsko, ale w żadną się nie zmieścił. Turu wziął więc na siebie trud negocjacji z nieprzejednanym Tsadkiem, który sprawował pieczę nad domowymi zapasami pościeli. Zdobywszy w końcu jedno stare prześcieradło, wujaszek zasiadł do maszyny marki Singer, niezawodnej, choć wiekowej, i raz-dwa uszył z niego koszulkę, odpowiednio przydużą, ze srebrzystą lamówką przy dekolcie i rąbku. Licho tymczasem chwyciło za druty i wydziergało do kompletu przepuchate

bamboszki w białe, srebrne i niebieskie zygzaki. Na koniec wspólnymi siłami wycięli parę skrzydeł z białego brystolu i wysmarowali je wikolem, do którego w mgnieniu oka przykleiło się wszystko – i prawdziwe anielskie pierze, i brokat, i kłaczki z waty, i strzępy białej bibuły, i nawet jeden różowy królik (królika po namyśle odczepili, bo zżerał bibułę i sypały się z niego bobki). Rano, tuż przed wyjściem do szkoły, Bożek z pomocą zręcznych macek Gucia powplatał sobie we włosy bardzo wąskie paseczki folii aluminiowej, które zwieńczyły całość.

Jego zdaniem kostium był bardzo anielski. I bardzo wspaniały.

– Wcale że nie – odparł więc stanowczo, na co Witek prychnął.

– Moja młodsza siostra ma takie skrzydła. Są dziewczynskie.

– A czy twoja siostra jest dziewczyną? – zapytał rezolutnie Bożek. – Na dziewczynie są dziewczynskie, a na chłopaku są chłopackie. To logiczne.

– Jesteś głupi. To logiczne – dodał złośliwie Witek.

Wtedy stało się coś, czego Bożek wcale się nie spodziewał. WCALE! Naraz poczuł, że jego lewa brew powoli, lecz zdecydowanie wędruje coraz wyżej i wyżej, podczas gdy prawa zostaje na swoim miejscu. Zupełnie jak u wujka, a przecież nigdy dotąd mu się to nie udało, chociaż próbował i próbował, i próbował! Z tego zdumienia aż mu na chwilę zaparło dech w piersi. A potem, jakby tego było mało, otworzył usta i wypalił dokładnie tym samym tonem, który tyle razy słyszał z ust Tsadkiela:

– Doprawdy, alleluja.

Po minie Witka dało się poznać, że nie za bardzo zrozumiał, co dokładnie miał na myśli Bożek, ale chyba wyczuł, że nie było to nic miłego, bo zrobił się cały czerwony. Inni chłopcy też wyczuli, gdyż zachichotali cicho, po czym znowu umilkli, wyczekując ciągu dalszego. I Witek już, już miał coś odpowiedzieć, coś na pewno jeszcze gorszego, ale nie zdążył, ponieważ w tym momencie do szatni zajrzała ich pani i kazała chłopcom trochę się pospieszyć z tym przebieraniem.

Parę minut później całą klasą przeszli na salę gimnastyczną, gdzie

właśnie rozpoczynał się bal.



Na czas Halloween sala gimnastyczna zmieniła się nie do poznania. Zniknęły z niej materace i kozioł, za to na wprost wejścia stanął długi stół z napojami, ciastami i mnóstwem przekąsek, a na straży przy nim czuwał osobiście pan od muzyki, przebrany za strączek zielonego groszku. (Bożek

osobiście przytaszczył do szkoły pudło pączków, które Krakery w amoku zaczął smażyć tuż po północy, przygotowując domowników o bezsenność i ślinotok czarowną, słodko-tłustą wonią). Pod sufitem dyndało na sznurkach kilka duchów i kartonowa czarownica na miotle. Na drabinkach wisiały lampki w kształcie nietoperzy, a w kątach piętrzyły się dynie i wykrzywiały swe straszliwe dyniowe gęby. Pan konserwator, spocony i purpurowy, wspólnie z energiczną panią dyrektor dmuchał balon za balonem. Muzyka dudniła z głośników, a dzieciaki na przemian to objadały się słodkościami, to szalały. Gdziekolwiek spojrzeć, wirowały księżniczki w połyskliwych kolorowych sukniach, obwieszane kilogramami plastikowej biżuterii. Kilkunastu Spidermanów z dzikim wrzaskiem ganiało się od ściany do ściany, jak gdyby uwierzyli, że jeśli wezmą naprawdę, NAPRAWDĘ duży rozbieg i walną naprawdę, NAPRAWDĘ mocno, to przywrą do niej jak najprawdziwsze pająki. Tu i tam przemykało kilku stormtrooperów, którzy pciem-pciumali na całe gardło i polowali na samotnego Batmana z mięśniami wypchanymi gąbką. Cukier buzował w żyłach, balony pękały z hukiem, trzaskał naelektryzowany poliester.

A Bożek stał z boku i próbował się przy wszystkich nie rozpląkać.

Nikt go nie dostrzegał. Nikt nie zwracał uwagi. Nie był Spidermanem, jak wszyscy, ani szturmtrupem czy jak to się tam nazywało, ani niczym, co znali i lubili, tylko Tym Dziwnym z trzeciej be, w koszulce ze starego prześcieradła, z folią aluminiową wplątana w potargane włosy. I nikogo nie obchodziło, dlaczego wolał się przebrać właśnie tak.

Obrócił się na pięcie i niezauważony wymknął z sali.

Pobiegł korytarzem. Minał łazienkę i szatnię. Minał swoją klasę. Minał portiernię, teraz pustą, bo pan portier przed kwadransem na dobre utknął przy pączkach. Nikt go nie zatrzymał, kiedy ze łzami w chabrowych oczach wypadł przez drzwi wejściowe i dalej, przez bramę, prosto w chłód i pluchę październikowego popołudnia.

Bożek biegł i biegł, w samej anielskiej koszulce i bamboszach, ze

skrzydłami na plecach i folią szeleszczącą we włosach. Biegł i jednocześnie tarł zdradziecką lewą brew, żeby się wreszcie uspokoiła i wróciła tam, gdzie jej miejsce. Ale ona nie chciała go słuchać, więc on ciągle był zły. Zły! I miał dość! Miał dosyć dzieci i szkoły, i w ogóle całego tego świata za ogrodzeniem. Nie rozumiał go. Próbował zrozumieć, dopasować się jakoś, ale nie umiał, nie umiał, i już! Chciał do domu. Do mamy. Do Licha, które zawsze go widziało, do Gucia, który nigdy się nie przezywał, i do Krakera, który piekł najpyszniejsze ciasto czekoladowe, i do poczciwego wujaszka, do którego zawsze można się było przytulić. Chciał do wszystkich, nawet do Tsadkiela. Tylko nie do wujka, który kazał mu iść w ten cały świat. Nie. Do wujka nie.

Głupi wujek.

I głupi, głupi świat.

Kto wie, może gdyby Bożek choć na chwilę przestał się złościć, gdyby zatrzymał się i zerknął za siebie, to zauważyłby coś, zanim było za późno.

Ale nie przestał. Więc nie zauważył.

I rzeczywiście było już za późno, żeby wrócić.

Tego popołudnia Licho postanowiło podrażnić.

Doskonale obeznane z koncepcją Halloween, długo buszowało po ciemnej, chłodnej piwnicy, zanim trafiło na dynię, którą przed tygodniem Krakera ledwo przyturlał z ogródka. Była tak ogromna, że w trakcie czasochłonnego procesu drążenia wpadło do niej aż dwukrotnie i nie umiało samo wyjść. Gdy wreszcie uporało się z zadaniem, włóknisty miąższ miało wszędzie – rozsmarowany na koszulce, na pyzatej buzi, w pierzu i we włosach, a jedna pestka chyba wpadła mu do ucha i łaskotała przy każdym kichnięciu. Licho nie zwracało jednak uwagi na podobne drobiazgi. Poprawiło wielkie gumowe rękawice, które sięgały mu daleko za łokcie, uzbroiło się w bardzo ostre narzędzia i przystąpiło do dłubania tak zwanej mordy. Musiało się spieszyć, żeby wyrobić się z przygotowaniami,

zanim Bożek wróci ze szkoły. Przekonało już widma, żeby się przebrały za... no, coś straszniejszego niż zwykle, doczepiło króliczkom pajęcze odnóża z włóczki – czarne, grube i włochate jak trzeba – a na ganku rozstawiło leżak i usadziło na nim naturalnych rozmiarów plastikowy szkielet. (Próbowало go najpierw zawiesić, żeby dyndał na wietrze, tyle że wtedy ciągle odpadała mu pupa, co trochę psuło Efekt Grozy). Dłubiąc w dyni, zastanawiało się jeszcze, czy aby nie powinno go przykryć kocymkiem. Ale chyba nie? W końcu szkielet był już tak jakby martwy, więc raczej nie powinien umrzeć z zimna, prawda?...

Oczyszczone pestki suszyły się już w piekarniku, a dynia łypała na świat pierwszym złowrogim okiem, gdy naraz mały anioł znieruchomiał.

Jedno po drugim pióra na skrzydłach stanęły mu dęba.

I nim jakakolwiek rozsądna myśl zaświtała mu w głowie, Licho już pędziło ile sił w nogach, ile tchu w piersi, pędziło przez deszcz i nadciągający pomału zmierzch, niepomne, że ktoś je zobaczy, ani głosów, które krzyczały za nim, żeby wracało. Wracaj, Licho, co ty wyprawiasz, wracaj, wracaj!!! Ale ono nie mogło wrócić, choćby chciało, a przecież nie chciało, nie mogło chcieć, bo siła najpotężniejsza ze wszystkich kazała mu pędzić, pędzić jak najszybciej z pomocą.

Bo z Bożkiem, jego Bożkiem, działo się coś złego.

Coś bardzo, bardzo złego.

Aż wtem zatrzymało się jak wryte na samym środku chodnika.

Tu. Nie znało tej ulicy, nie rozpoznawało żadnego budynku, było jednak pewne, najpewniejsze, że to tu. Właśnie tu, nigdzie indziej.

– Li... Li... oesu... Licho... co ty...? – z trudem wydyszał Konrad, który zatrzymał się tuż obok. Schodził właśnie do kuchni, żeby zaparzyć sobie świeżej herbaty, i widząc małego anioła pędzącego najpierw w stronę furtki, a potem dalej przed siebie, jakby mu się bamboszki paliły, bez namysłu ruszył za nim w pościg. Stał teraz pośrodku ulicy, bez kurtki, w samych dzinsach i starej koszuli, na stopach miał kapcie, które piły

zachłannie wodę z kałuż, a w prawej dłoni wciąż ścisnął pusty kubek. – Czyś ty... czyś ty... oesu... mam zawał...

– Bożek! – pisnęło Licho, rozglądając się wokoło. Było wystraszone, i to bardzo, a przy tym wyraźnie zmieszane. – Och, jejciu, jejciu, och, alleluja, Bożek, Bożek!

– Co... Bożek? – wysapał Konrad. Zmarszczył brwi. – Coś się stało? Z Bożkiem? Rany boskie, Licho, co się stało, gdzie jest Bożek?!

– Tu! Tu! Tu! – piszczało Licho, bezradnie i rozpaczliwie, lecz z takim przekonaniem, że Konrad nawet przez mgnienie oka nie zwątpił, że nie bez powodu było tak poruszone. – Och, alleluja! Tu jest, tu! – Aż dygotało z przejęcia, gdy tak powtarzało raz po raz i tupało nóżką na znak, że tu, właśnie tu, gdzie stało, stać też powinien Bożek, bo tu go czuło, czuło wyraźniej niż cokolwiek innego.

Tyle że nie stał.

– Dobrze, tu. Rozumiem – rzekł Konrad i uśmiechnął się niewyraźnie, licząc, że w ten sposób choć odrobinę uspokoi małego anioła. – Ale... ale gdzie tu?

Przed nimi, kawałek dalej, okna pobliskich bloków rozbłyskały pomału mozaiką świateł. Przez witrynę niewielkiego supermarketu jak na dłoni widać było ludzi, którzy krążyli po jasnych alejkach, zgarbieni nad sklepowymi wózkami. Potem przemykali ze swoimi zakupami przez parking prościuteńko do samochodu, żeby jak najszybciej schować się przed deszczem i chłodem. Ani w głowie im były jakieś przechadzki czy choćby rozglądanie się, kto też tam stoi na chodniku, spowity ciepłym blaskiem ulicznej latarni. Nikt więc nie zwracał uwagi na najprawdziwszego małego anioła w bamboszach i równie prawdziwego, acz sporo większego mężczyznę w kapciach, którzy wypatrywali wszędzie chłopca o chabrowych oczach, a serca ścisnął im coraz większy lęk.

– Gdzie? – powtórzył Konrad. – Gdzie? Licho, gdzie jest Bożek?

– Tu... – powtórzyło i zaraz dodało: – ...i tam.

Kubek z brzękiem rozbił się o chodnikową płytę. Konrad zbladł. Chyba już wiedział, co się stało. Kucnął, chociaż nogi mu drżały, i popatrzył prosto w tęczowe oczy anioła.

– Licho, czy... czy Bożek znowu zniknął? Zasnął i zniknął?

– Tak! – zakrzyknęło, uradowane, że w końcu udało mu się zrozumieć, dlaczego nigdzie nie widziało swojego chłopca, choć czuło go, czuło całym sobą, od stóp w bamboszkach aż po samiutki końcówki anielskich włosów. – Tak! Tak, Bożek... Bożek zniknął – szepnęło cicho, cichuteńko. A potem dodało jeszcze ciszej: – I teraz nie umie wrócić.

– Jak to nie może wrócić?! – dopytywał Turu z wielkim wzburzeniem, łypiąc to na zmokniętego Konrada, pogrążonego w zadumie nad kubkiem gorącej herbaty, to na Licho, które ledwo wystawało spomiędzy warstw koca i kichało jak oszalałe. – Przecież zawsze wracał! Zasypiał i zniknął, budził się i wracał, to dlaczego tym razem nie wraca? Co on, zapadł w tej szkole w sen zimowy?!

– Wydaje mi się, że Bożek wcale nie zasnął – odezwał się w końcu Konrad.

– Ale zniknął, tak?

– Owszem, zniknął.

– Więc JAK, do stu puszek szynki konserwowej, skoro nie zasnął?! – zagrział Turu, aż echo jego głosu poniosło się po domu, płosząc podziomka. – Zawsze zniknął, kiedy zasypiał! Od maleńkości, od obsrajmajtka w rajtuzkach!

– Dzisiaj mamy Halloween, Turu – przypomniał mu Konrad. – Noc, kiedy zaciera się granica między światem zmarłych a światem żywych, kiedy przeróżne duchy krążą swobodnie między jednym a drugim. A Bożek... – Urwał i westchnął głęboko. – Pamiętasz? Bożek jest tylko w połowie człowiekiem. Pół człowiek, po matce...

– A po ojcu pół widmo – dokończył wujaszek. – Choć i tak dobrze, bo

mógł wyjść półgłówki. Ech, geny zdradzieckie, a żeby im się helisy rozprostowały... Ale czekaj no, bratku, czekaj! Przecież to nie pierwsze Halloween jaśnie Bożętego. Czemu dotąd nie włączała mu się ta opcja międzyświatowych wojaży?

Konrad rozłożył ręce.

– Pojęcia nie mam. Coś musiało się stać. Coś, czego nie przewidziałem...

– Tym razem nikt go nie strzegł – przerwał mu dźwięczny głos Tsadkiela. Drugi anioł stróż, świetlisty, dostojny i rosły, stanął w drzwiach kuchni. – Rano, wieczór, we dnie, w nocy – wyrecytował. – Doprawdy, alleluja, nasza rola nie ogranicza się do dziergania bamboszków i pilnowania prześcieradeł. Przede wszystkim strzeżemy ode złego. Również bardzo, bardzo złego.

– ...praszam... – Licho zapiszczało żałośnie spod koca i rozbeczało się na całego. – Ja nie chciaaaaaaaałoooooooooom...

Wujek i wujaszek rzucili się, żeby je pocieszyć, zapewnić, że to wcale nie jego wina, absolutnie, na co duży anioł przytaknął, że skądże znowu, alleluja, oczywiście, że to nie wina Licha, to wina Konrada i już, na co Konrad uniósł brew, do tego Krakera wtrącił mackę i na kilka minut w kuchni zapanował chaos.

W końcu opadły i brwi, i emocje, i macki też, choć niechętnie. Szybko znalazły sobie jednak inne zajęcie, bo smutek Licha wymagał natychmiastowego ukojenia, najlepiej gorącą czekoladą i racuchami z cukrem pudrem.

Tymczasem wielki Turu oklapł jak balon, z którego ktoś nagle spuścił powietrze.

– On stamtąd nie wróci...

– Sam? Nie. – Konrad wziął ostatni łyk herbaty i odstawił kubek do zlewu. – Trzeba po niego iść. I to najlepiej, zanim jego matka wróci z delegacji i nas rozniesie na strzępy.

– Ja pójdę! Ja! – zaoferowało Licho i podskoczyło z entuzjazmem, na

śmierć zapominając o kocu, którym było otulone, co zakończyło się niekontrolowanym fikołkiem z krzesła. – Oj, alleluja...

– Ja ci dam włóczyć się po zaświatach! Ty ledwo własny zadek ogarniasz! – grzmiał Turu, zbierając je z podłogi. Próbowano protestować, lecz Konrad stanowczo poparł wikinga:

– Mowy nie ma, Licho. Jesteś za małe na takie wyprawy.

– Poza tym zaświaty nie wpuszczą anioła – wtrącił sucho Tsadkiel. – Nawet w Halloween nie wpuszczą niczego, co składa się z czystego dobra.

– Ach, czyli ty swobodnie dasz radę, bratku?...

– Och, doprawdy, alleluja.

Konrad przez długą chwilę patrzył w milczeniu to na swojego anioła, pięknego jak posąg z marmuru, to na rozczochrane, zasmarkane Licho.

– Ja pójdę – rzekł cicho. – Pójdę po Bożka.

– Oj, bratku – Turu sceptycznie pokręcił głową – z gęby to ty może i jesteś upiorny, z charakteru nawet bardziej, ale twoja noga nigdy nawet nie powstała w zaświatach. Jak ty się zamierzasz tam dostać, co? Nie masz w sobie genów widma, nie wystarczy, że się zdrzemniesz i gotowe.

– Co racja, to racja. Na szczęście znam kogoś, kto ma w tej kwestii więcej doświadczenia – odparował Konrad, uśmiechając się półgębkiem, i wskazał na olbrzymią, lśniącą mackę, która z wprawą przerzucała na patelni pierwsze racuchy.

Słyszając to, Krakery zmniejszył ogień pod patelnią, a potem ryknął przeciągle. Gdzieś z głębi domu odpowiedziało mu nieco cichsze, lecz równie przepotworne GRRROAAAAAAAAAAGHHH!!!, po którym rozległa się szybka seria młaśnieć – *pflomp, pflomp, pflomp* – kiedy Guccio pędził po schodach do kuchni. Obydwa potwory przez chwilę dyskutowały z zacięciem, od którego tynk sypał się z sufitu prosto na racuchy, aż wreszcie wielka macka ujęła Konrada pod ramię, stanowczo wypchnęła na ganek i tam wskazała na staw.

– Och. Och, alleluja...

Dawno, dawno temu, jeszcze zanim Bożek przyszedł na świat, istniał inny dom niż ten – daleko stąd, ukryty głęboko w lesie przed niepożądanymi spojrzeciami. Trochę pokraczny, trochę dziwaczny, lecz przytulny i przyjazny dom zwany czule Lichotką. Konrad odziedziczył go po dalekim i nieznanym krewnym, a wraz z nim Licho, Krakera, kota i cztery utopce, jak również pewne widmo ze skłonnością do poezji i robótek ręcznych. Żyli tam wspólnie, mniej więcej w zgodzie, do czasu, aż pewnej nocy wybuchł pożar. Potężne macki Krakera zdążyły zbudzić domowników i pomogły im uciec, lecz sam potwór musiał czmychać przed płomieniami o wiele, wiele dalej. Aż w zaświaty.

Konrad wciąż pamiętał i pożar, który strawił Lichotkę, i tamtą straszliwą, wiosenną burzę, jaka rozpętała się nocą rok później, gdy mieszkali już tutaj, razem z Turu. Niewiele brakowało, by rosnący w ogrodzie wiąz runął wtedy prosto na ich nowy dom. We trzech, Konrad, Turu i Tsadkiel, zdołali zapobiec katastrofie, a wyrwane siłą żywiołu korzenie drzewa otworzyły w ziemi przepastną jamę w sam raz dla pradawnego potwora. Jamę, w której potem urządzili staw.

Przejdźcie do zaświatów.

Wyrwany ze snu utopiec wysłuchał, o co chodzi, po czym niechętnie zanurkował na samo dno.

– Nie ma szans – zaskrzeczał, kilka minut później wróciwszy na powierzchnię. – Prawie całe przejście zdążyło się zasklepić, została tylko wąska szczelina. Gruby się nie przecisnie.

– Nie jestem gruby – odparł z godnością Turu. – Mam rozbudowaną powierzchnię nośną!

– Jasne, tak sobie wmawiaj. Za to chmurny i dumny patyczak powinien dać radę.

– Dam.

– Ejże, bratku? – Na poczciwej twarzy Turu malowało się niedowierzanie. – Chcesz iść tam sam? W zaświaty?...

– Wygląda na to, że nie mam innego wyjścia – przytaknął Konrad. Popatrzył na taflę stawu. Woda była czarna i zimna. W zasadzie dobrze, że nie zdążył się przebrać z przemoczonych ubrań, zmienił jedynie kapcie na tenisówki. – Bożek utknął w zaświatach i nie umie wrócić. Przecież nie zostawię go tam samego. Powinienem coś ze sobą zabrać? – zwrócił się do Krakersa. – Sól? Kadzidło? Wonne oleje?

– Chusteczki higieniczne i gacie na zmianę – zarechotał utopiec. I natychmiast tego pożałował, bo jedna potworna macka strzeliła go w ucho, a druga, mniejsza, trzepnęła w kostkę.

– Nie mogę z tobą iść, ale coś ci dam – powiedziało Licho. Z bardzo poważną miną wyrwało sobie ze skrzydła puchate, lekkie piórko, dmuchnęło w nie lekko i wręczyło Konradowi. – Miłość. Miłość przydaje się zawsze.

– Jak również niezłomność – rzekł Tsadkiel, podając mu drugie pióro, długie i smukłe, z własnego skrzydła.

– I kawał porządnej skóry, żeby to wszystko zebrać do kupy – dodał Turu dziwnie zachrypniętym głosem i zdjawszy jeden z rzemieni, które zawsze nosił na nadgarstku, raz-dwa zmajstrował amulet i zawiesił go Konradowi na szyi. Anielskie pióra zdawały się świecić delikatnym blaskiem, a gdy ich dotknął, poczuł pod palcami delikatne vibracje.

Miłość.

Niezłomność.

Przyjaźń.

Konrad wziął głęboki wdech, a potem zanurkował prosto w lodowatą otchłań.

Mlask-mlask-mlask. Chodnik lepił się dziwnie, przywierał do podeszew, spowalniając krok. Nocne niebo i jezdnia, uliczne latarnie, domy pobliskie i domy w oddali – wszystko wokół lśniło wręcz od wilgoci, jak gdyby dopiero co spadł ulewny deszcz, tak ulewny, że aż siekący bezlitośnie skórę

ciężkimi strugami wody. Tak. Właśnie tak. Po prostu padało. To dlatego świat wyglądał teraz tak, jak wyglądał, dlatego wydawał się taki niesamowity. Otaczające go budynki i drzewa gięły się śmiesznie i falowały, przechylały to na jedną, to na drugą stronę, to w przód, to w tył niczym pod naporem kapryśnego wiatru albo skorego do figli olbrzymiego palucha. Widok ten był tak osobliwy, a jednocześnie tak znajomy... Coś mu przypominał, coś zwyczajnego, coś, co widywał często, lecz zwykle pomijał milczeniem. Ach, tak! Chłopiec uśmiechnął się, gdy w końcu spłynęło na niego olśnienie. Oto patrzył na świat odbity w kałużach. Kałużach wszechobecnych po ulewnym deszczu. Wszystko się zatem zgadzało, szedł więc dalej i patrzył, i nie dziwił się już wcale.

I wcale go też nie dziwiło, gdzie się w takim razie te kałuże podziały i czemu nurzał się w nich caluteńki świat.

Mlask. Mlask. Mlask. Wilgoć pod jego podeszwami gęstniała, lepiała się coraz bardziej i ciągnęła długimi, klajstrowatymi pasmami. Mimo to szedł, przed siebie albo... albo może nie przed, może raczej w bok? Albo trochę naokoło i z powrotem, i dalej tam, w tę lub tamtą stronę, tak czy owak szedł, szedł niewątpliwie, krok za krokiem w kierunku... w kierunku... Dokąd on w zasadzie szedł? Chłopiec przystanął w zimnym blasku latarni, żeby się dobrze zastanowić. MLASK. Zachłanna wilgoć, która przypominała teraz na wpół stężałą galaretkę, z miejsca zassała podeszwy jego butów, lecz on nie zwrócił na to uwagi, zbyt pochłonięty pytaniem...

...którego już nie pamiętał.

Zmarszczył czoło i trąc mocno nasadę nosa, dokładnie tam, gdzie zetknęły się jego brwi, zaczął myśleć. Szedł. Znaczy, jeszcze przed chwilą szedł, bo teraz to nie szedł, tylko stał i myślał o tym, że szedł, znaczy, jeszcze przed chwilą szedł, bo teraz to nie szedł, tylko stał i myślał o tym, że...

Och, jej...

Pogubił się we własnych myślach, we własnym mieście. A może nie,

może one wcale nie należały do niego? Może to były cudze myśli i cudze ulice, cudza głowa i cudze miasto? Może więc lepiej będzie, jeśli zawróci? Spojrzał w lewo, potem w prawo, a potem w górę i jeszcze w dół. Tylko... tylko w którą stronę było za, gdzie mógłby zawrócić, a w którą nieznaną przed? Skąd przyszedł, dokąd zaś zmierzał? Gdzie już był, a gdzie dopiero będzie? Och, jejku jej...

MLASSSK. Wilgoć sięgnęła ponad krawędź jesiennego trzewika i zaczęła wsiąkać w nogawkę spodni. Zadrżał, czując jej dotyk na skórze i głębiej, jeszcze głębiej, aż do szpiku kości.

I wtedy z gęstego mroku, który czaił się na skraju latarnianego blasku, rozlała się postać – wszechogarniająca, niebosięzna – i pochyliła się nad chłopcem jak żuraw nad żabą, wyciągając długą, chudą szyję. Postać miała oczy jak dwie kuleczki z czarnego szkła, rozdzielone bardzo wąskim, długim nosem, którego spiczasty czubek sięgał daleko, daleko, prawie do równie spiczastego podbródka. Na kędzierzawej głowie o długich, sterczących uszach nosiła znoszony cylinder, tu i tam przetarty i pogięty, jak gdyby ktoś na nim usiadł przez przypadek. W porównaniu z resztą bezkształtnego ciała, schowanego pod szaroburą peleryną, głowa ta wydawała się malutka i zawieszona zbyt nisko na zwalistym, garbatym tułowiu.

– Kim ty jesteś? – zapytała postać zgrzytliwym głosem.

– Sobą – odparł chłopiec bez namysłu, bo też nie było się tu nad czym namyślać. Kimże innym miałby być? Na co postać pokręciła głową, cmokając z autentycznym zatroskaniem.

– Och... To niedobrze, to bardzo, bardzo niedobrze. A czy to aby nie boli?

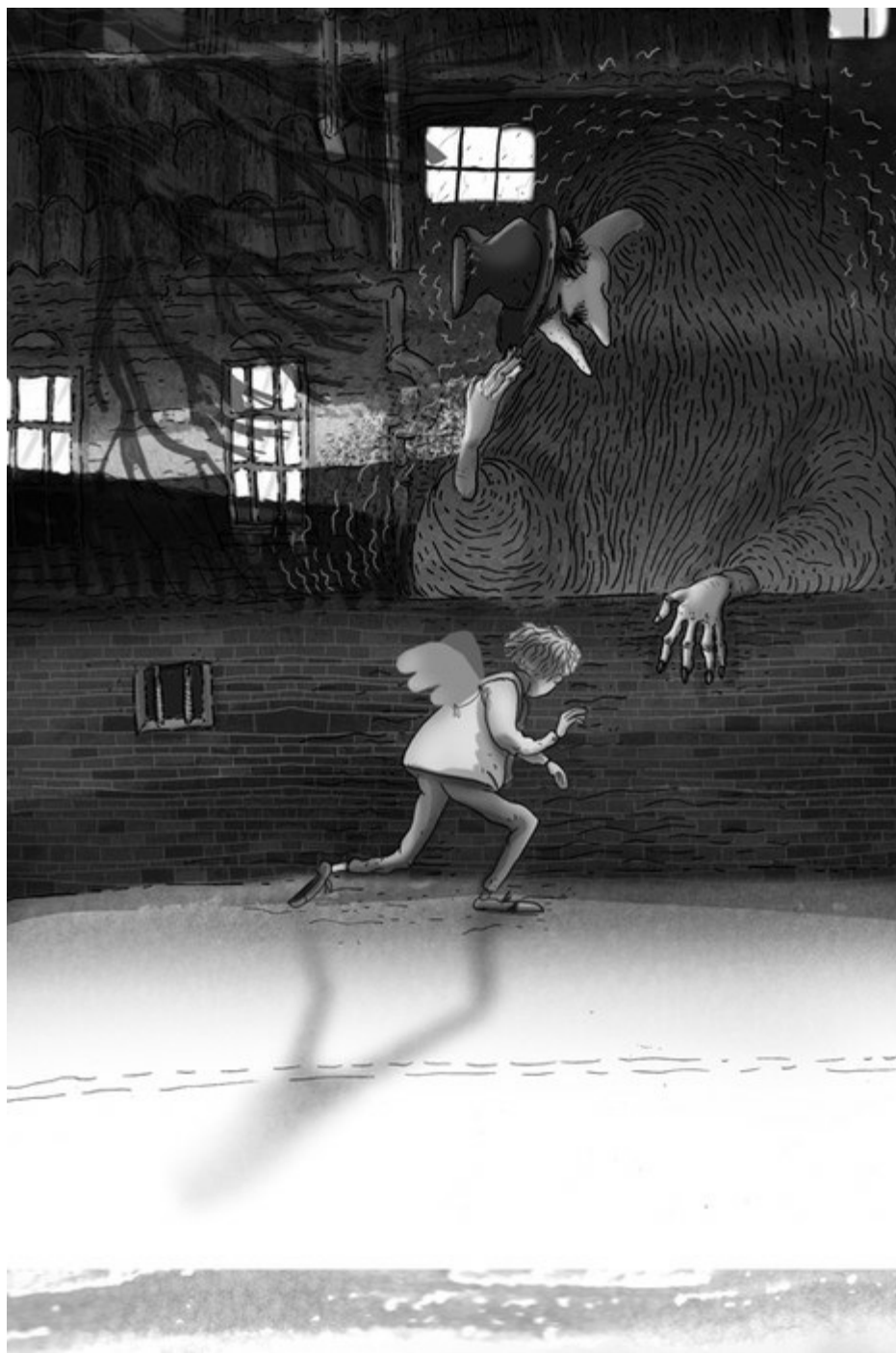
– Czasem. Ale raczej swędzi.

– A gdzie?

– W oczy. O, tutaj. – To mówiąc, chłopiec wybałuszył gały.

Postać nachyliła się jeszcze bardziej i wbiła w nie spojrzenie kuleczek

z czarnego szkła.



– Ach, jakie one ładne! – zachwyciła się. – Jakie chabrowe, och, ach, och!

– To po tacie.

– Ależ to się wprost wybornie składa! Ja też mam oczy po tacie, spójrz! –

Sękata, nieco oślizgła dłoń rozchyliła poły peleryny i oczom chłopca ukazały się... cóż, też oczy, rozliczne, które dyndały parami jak bombki na drucianych zawieszkach, zaczepione o materiał. Zielone i niebieskie, brązowe i piwne, i szare, i nawet żółte jak bursztyn, do wyboru, do koloru, patrzyły na chłopca z zaciekawieniem. – A gdybym któreś zapodział, co, muszę przyznać, zdarza mi się dość często, albowiem są to oczy dość swawolne i lubią czasem zawędrować tam, gdzie nie powinny, otóż na taki wypadek mam również oczy po mamie, po babci, stryjecznym pradziadku i trzech sąsiadach kuzynki ze strony ciotki. Te po pradziadku lubię najbardziej, wyśmienicie robią zeza – dodała postać, po czym na powrót zakryła swoją kolekcję, żeby się nie kurzyła. – Mam też, proszę ja ciebie, całe mnóstwo innych cudeniek po wszelakich krewnych – rzekła i odchyliła drugą połę peleryny.

Buchnęła odurzająca woń, zarazem słodka i cierpka, przyjemna i nieznośna, od której aż kręciło się w nosie i głowie. Chłopiec rozdziawił usta. Ach, jakież to cuda kryły się z tej strony przepastnej peleryny! Cukierki, setki cukierków w papierkach albo bez, w najprzeróżniejszych kształtach, kolorach i rozmiarach.

– Proszę bardzo. Wspomnienia. Sentymenty. Marzenia i mrzonki, fantazje i tęsknoty, ach, urazy, lęki i obawy! Lęki lubię najbardziej. – Postać mlasnęła łakomie. – Smakują lukrecją... i trochę bobem. Lubisz bób?

– Wolę fasolkę szparagową – przyznał szczerze chłopiec.

– Zieloną czy żółtą?

– Zieloną.

– Ach, odmienność, doskonały wybór! Odmienności mam w bród! – Postać zwinnym ruchem wyłowiła cukierek w czerwono-białym pasiastym papierku. – Ten będzie jak znalazł. Podkreślona lekko orzechową nutą nieśmiałości odmienność powinna ci zasmakować.

Och, jakże ten cukierek pachniał! Jak upojnie! Ręka aż sama się

wyciągała, żeby go wziąć i rozpakować z papierka, a potem wsunąć do złaknionych ust... Lecz wtedy chłopiec dostrzegł swoje odbicie w szklanych oczach postaci i na ułamek sekundy coś sobie przypomniał.

Coś ważnego.

– Mama zawsze powtarza, że nie wolno niczego brać od obcych – bąknął, chociaż za słowem „mama” nie kryło się dla niego nic poza pustką. Lecz postać zaśmiała się i rzekła cicho, cichuteńko tym swoim zgrzytliwym głosem:

– Och, Niebożátko, Niebożę ty moje blondwłose, chabrowookie, przecież ja wcale nie jestem obcy. Nikt nie zna cię tak dobrze jak ja. Nikt inny, tylko ja, nie zagląda wprost do twych marzeń i lęków.

– *Źle mnie w złych ludzi tłumie* – szepnął chłopiec słowami, które od dawna kołatały mu się po głowie, po duszy, słowami wiersza, którego sens zawsze czuł, lecz dopiero teraz tak naprawdę zrozumiał. – *Płaczę, a oni szydzą... mówię, nikt nie rozumie... widzę, oni nie widzą...*

– Ja rozumiem. Ja widzę. Ja jestem. No, już, już. – I pogładziwszy chłopca po jasnych lokach, raz jeszcze wyciągnęła do niego rękę z cukierkiem. – *Pójdź do mnie, chodź do mnie, chłopczyno, bez obaw...*

Woda w stawie była ciemna i tak zimna, że Konrad nie dotarł nawet w pobliże dna, a już skostniał. Nie czuł dłoni, nie czuł twarzy, pomału tracił też kontakt z nogami, choć wciąż starał się nimi przebierać, lecz najbardziej zaczynało brakować mu powietrza. Dziwne, przeszło mu przez głowę, jak bardzo człowiek może być przywiązany do czegoś tak ulotnego jak oddech. Niby takie nic, prawda? Człowiek nawet nie zwraca uwagi na to całe oddychanie, ale gdy przyjdzie co do czego, to żyć się bez tego nie da... Pomału witał się z myślą, że to był Naprawdę Głupi Pomysł z tą całą przeprawą w zaświaty, że owszem, teraz to na pewno się tam dostanie, tyle że przypadnie mu bilet powrotny, gdy wtem za jedno ramię chwyciła go mocno błoniasta łapa, drugie zaś oplotła zwinna macka. Utopiec i mały

potwór pociągnęli go za sobą. Daleko, daleko w dół.

Tak, woda była zimna, z każdym kolejnym metrem zimniejsza, lecz krzepkie ciało Gucia emanowało życiodajnym ciepłem, na tyle wyraźnym, by Konrad odzyskał władzę w kończynach i mógł płynąć dalej.

Aż wreszcie, gdy już myślał, że to się nigdy nie skończy, że dłużej nie da rady, że zaraz rozchyli zaciśnięte usta i zachłyśnie się wodą i mrokiem, które napierały na niego coraz wyraźniej, czubkami palców uderzył o kamieniste dno. Sekundy później, popędzany przez macki, znalazł szczelinę i bez namysłu wcisnął się w jej szorstkie objęcia.

I naraz wróciło światło, a wraz z nim wytęskniony oddech i grunt pod stopami. Drżący z zimna i zmęczenia Konrad znalazł się w zaświatach.

– Pflomp? – zza jego pleców dobiegło pytające mlaśnięcie. Obejrzał się na Gucia. Co prawda małemu potworowi daleko było rozmiarami do Krakersa, którego pradawne cielsko swego czasu wydarło przejście między światami, lecz i tak nie mieścił się w szczelinie. Mógł jedynie machać macką do swojego człowieka na znak, że będzie tu na niego czekał.

Z duszą na ramieniu i anielskim amuletem na szyi Konrad samotnie ruszył przed siebie.

Szedł, drżąc z zimna i obrzydzenia, i wypatrywał wszędzie zaginionego chłopca. Szybko zorientował się, że ulice, którymi wędrował, wyglądały znajomo, choć zarazem obco. Najwyraźniej zaświaty były odbiciem prawdziwego świata, świata materialnego, tyle że po drugiej stronie kałuży. Bardzo, bardzo głębokiej. Wbrew temu, co podpowiadała mu wyobraźnia, okazały się lepkie i oślizgłe niczym ślimaczy śluz. Wysoko w górze rozpościerało się nocne niebo bez księżyca i gwiazd. Sprawiało wrażenie, jak gdyby lada moment miało się zarwać pod ciężarem ciemności. Wszystko wokół, od zwiotczałych drzew bez choćby jednego liścia aż po wykoślawione budynki o ślepych oknach, zdawało się na wskroś przesiąknięte wilgocią, zgalaretowiałe i pokraczne. Nawet światło z ulicznych latarni, bladospine i tchnące chłodem, spływało na chodniki

ślamazarnie, jak ciągnący się obrzydliwy glut.

Szedł i szedł godzinami, które wlekły się i wlekły, niepostrzeżenie przeradzając w dni, miesiące, lata, nigdzie jednak nie dostrzegł znajomej jasnowłosej głowy. Cóż, kolejna sprawa, którą pewnie by gruntownie przemyślał, gdyby nie był tak strasznie na bakier z czasem: tak w zasadzie to jak miał odnaleźć w zaświatach zaginione dziecko? Na dodatek nie było jakie, zwyczajne dziecko, lecz pół człowieka, pół widmo? No jak? Wtedy jego dłoń mimowolnie sięgnęła do szyi. Nikt poza nim nie zmieścił się w szczelinie, zabrał ze sobą tylko tę jedną rzecz. Sklecony na poczekaniu amulet. To było całe jego wsparcie, jego dzielna drużyna, grupa szturmowa do zadań nadzwyczajnych – dwa anielskie pióra na pociemniałym ze starości rzemieniu. Czym miał się teraz posłużyć, czym kierować po tej stronie rzeczywistości? Miłością? Niezłomnością?

Nie, tknęło go nagle. Przyjaźnią. Potrzebował przyjaciela, starego i sprawdzonego – acz również utrapionego i wkurzającego jak metka w majtkach – który przed dziesięcioma laty odszedł z rzeczywistego świata... ponownie, ale Tym Razem To Już Tak Naprawdę i na dobre rozgościł się tu, w zaświatach.

Przyjaciel widmo.

– No dobra. Chodź – wyszeptał Konrad pod nosem, ściskając amulet i ze zmarszczonym czołem wyteżając wzrok. – No chodź. Przecież wiem, że tu jesteś. Umarłeś, więc jesteś. No chodź. Chodź. CHODŹ.

Plama światła, która rozlewała się leniwie pod najbliższą latarnią, zadygotała nagle i zaczęła bulgotać jak szalona. Bulgotała tak i bulgotała przez chwilę albo dwie, aż wybrzuszyła się, mocno i jeszcze mocniej, i jeszcze, i wydeła w olbrzymią bańkę. Ta bańka bladozielonego gluta w końcu oderwała się od plamy i z głośnym plaśnięciem wylądowała na chodniku tuż przed Konradem.

A potem wstała.

– Och, Kondziu! – zapiał glut, rzucając mu się na szyję. – Jakże się

cieszę, że ty nie żyjesz!!!

– W zasadzie to jeszcze nie, ale chyba już tego żałuję... – westchnął ciężko Konrad. – Cześć, Szczęśny. Też się cieszę, że cię widzę.

– Tęskniłem za tobą – zbulgotał czule glut, nie przestając kleić się do Konrada.

– Ja również, ale czy mógłbyś... no wiesz... trochę ogarnąć cielesność...? Bo mi cieknie za kołnierz.

– Och, wybacz. – Glut odkleił się i zebrawszy w sobie, zaczął przybierać konkretniejszy kształt. Chwila moment i oto przed Konradem stał już młodzieniec w lakierkach i zgrabnym fraczku z kamizelką, jak na dziewiętnastowiecznego eleganta przystało. Burza złocistych loków i świetliste oczy o barwie chabrów nie pozostawiały żadnych wątpliwości – choć nieco przejrzysty, dziwnie bladozielony i martwy od ponad dwóch stuleci, Szczęśny z pewnością był też ojcem Bożka.

– Ach, wybacz ten wyciek, Kondziu – westchnął – ale wiesz przecież, że gdy cię długo nie oglądam, czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam i tęskniąc, sobie zadaję pytanie: czy to jest przyjaźń, czy to jest...

– Słuchaj, baranie – nauczony doświadczeniem Konrad bez pardonu przerwał ten atak poezji. – Nie mamy na to czasu. Bożek gdzieś tu jest. A ty musisz mi pomóc go odnaleźć.

– Bożek? Och, mój syn?! – zakrzyknęło widmo. – Krew z krwi, owoc...

– Tak, twój syn, twój owoc, nowy pęd na winorośli żywota twego zbłądził w zaświaty i teraz trzeba go odbłądzić, zanim nadejdzie świt.

– Och, mój pęd!... Pędzik taki, tyci-tyci... Jaki on jest?

– Chwilowo zagubiony.

– A poza tym?

– Cały tatuś – podsumował Konrad krótko i kąśliwie. – Poetyzuje, histeryzuje i recytuje Schillera. W oryginale.

– OCH!

- Szczęśny, do diabła, przestań ochać i skup się wreszcie!!!
- Kiedy bardziej nie mogę! – zaprotestowało widmo. – Tobie się zdaje, że te koronki materializują się same?!
- Umysłowo się skup! Jeżeli Bożek jeszcze bardziej zgubi się w zaświatach, to już nigdy nie wróci do domu i jego matka mnie zabije, a wtedy będę martwy i wyląduję tutaj z tobą. Skup się – powtórzył z naciskiem. – Teraz. Zaraz. I pomóż mi znaleźć Bożka.

Szczęśny z powagą skinął głową i skupił się jak nigdy dotąd, aż wokół niego co rusz strzelały i trzaskały iskry, a ślamazarne światło latarni umykało jak najdalej. Konrad mógł jedynie stać, patrzeć i zaciskać palce na anielskim amulecie, który wibrował teraz tym wyraźniej, im mocniej rozświetlała się widmowa postać.

- Czucie i wiara, czucie i wiara... – mamrotał Szczęśny. – Och, jest! – zakrzyknął nagle z radością, której nie oddałyby żadne słowa w żadnym języku, radością ojca, który odnalazł swe dziecko. – Jest, mój syn, mój owoc, jest tam, czuję go!... OCH!

Na ten okrzyk Konradowi zjeżyły się włosy na głowie.

- Co? Co?! – dopytywał poblady. – Co OCH?!
- Och, niedobrze, fatalnie! Król, ach, Król... – Szczęśny spojrzał na przyjaciela, a w jego oczach, zwykle rozmarzonych, zalśniła czysta zgroza. – Spieszmy się, Kondziu! Spieszmy się, nim będzie za późno!

Konrad nie miał pojęcia, dokąd tak właściwie pędzi ani po co, ani kim jest ów Król, o którym wspomniał zelektryzowany Szczęśny. Pędził jednak za widmem starego przyjaciela, strach dodawał mu skrzydeł, a amulet z anielskich piór i wikińskiego rzemienia wibrował na jego piersi tak mocno, że aż sprawiał tym ból. Biegli tak i gnali, mknęli przez wilgotne zaświaty, człowiek i duch człowieka, przed nimi zaś, spomiędzy ciemności, z wolna wyłaniała się góra. Potężna, masywna, o zboczach zdradliwie łagodnych, a przy tym miękkich jak mech. Zatrzymali się u jej stóp

i zadarłszy głowy, próbowali dojrzeć szczyt.

– Tam? – upewnił się cicho Konrad.

– Tam – przytaknął Szczęsny, z powagą spoglądając w górę. – Wysoko, wyżej, niż możesz sądzić. Zakręci się w głowie, gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe spod nogi...

Zaczęli się wspinać.

Ledwie jednak przebyli pierwszych kilka metrów, zdali sobie sprawę, że tuż pod powierzchnią zbrocza kryły się głazy i kamienie, dziury i rozpadliny, na których co rusz się potykali, boleśnie tłukąc kolana i kostki o niewidoczne krawędzie. Na dodatek całe podłoże, jak gdyby przyobleczone z wierzchu płachtą o barwie ni to szarości, ni to zieleni, przy każdym kroku obsuwało się pod ich stopami. Konrad syknął, kiedy przy kolejnym upadku rozciął sobie wnętrze dłoni i krople jego krwi skapnęły na mszyste zbocze. Mimo to nie przestawali się wspinać.

Aż wreszcie, gdy już obie dłonie Konrada lepiły się od krwi, gdy już nawet przestał liczyć coraz to nowe sińce na kolanach, a pierś rozsadzały mu ból i tęsknota za miarowym oddechem, wreszcie zdołali wychwycić wzrokiem odległy szczyt góry. Tam, czubkiem krzywego cylindra nieomal muskając niebo, siedziała bezkształtna postać i garbiła się nad czymś zachłannie.

– To on – szepnął Szczęsny. – To Król we własnej osobie.

Król, pokraczny i poczwarny, Król szarobury, Król o spiczastym nosie i oczach z czarnego szkła. Jedną ręką zagarniał do siebie drobną, jasnowłosą postać ze skrzydłami wyciętymi z brystolu, drugą zaś nieustannie podtykał jej cukierek za cukierkiem i szeptał coś prosto do ucha.

– Bożku! – krzyknął Konrad głośno, jak najgłośniej, a Szczęsny mu zawtórował.

Znów wyrwali w górę, potykając się i upadając jeszcze częściej niż dotąd. Ich stopy, choć z różnych światów i materii, jednakowo grzęzły

w zbroczu, które zdawało się robić, co w jego mocy, by ich spowolnić, zatrzymać, uwięzić, aż będzie za późno.

– Bożku! – nie przestawali krzyczeć jeden przez drugiego. – Bożku! Booożkuuu!!!

Następny cukierek trafił do rozchylonych dziecięcych ust, po czym sękata dłoń sięgnęła do piersi Króla i szarpnęła gwałtownie. Na mgnienie oka przed tym, jak mszyste podłoże umknęło spod ich stóp i upadli bezwładnie, Konrad pojął, że przez cały ten czas stąpali nie po zbroczu góry, lecz po połach królewskiego płaszcza. Pod nimi zaś...

– Cóż to? – zdumiało się widmo, gramoląc z trudem na kolana. – Cóż to ma być, to... to wszystko?

– Właśnie to – wychrypiął w odpowiedzi Konrad. – Wszystko.

I nie przestając ani na chwilę brnąć coraz wyżej i wyżej, do chłopca, wyławiał spojrzeniem kolejne znajome przedmioty, które kryły się dotąd pod płaszczem Króla, a teraz aż lśniły od lepkiej wilgoci. Grzechotki. Bombki, z których już dawno obsypał się brokat. Pluszaki. Nieprzebrana drobnica z jajek niespodzianek. Drewniana kolejka bez ciuchci, która zajechała zbyt blisko kominka. Autka bez kółek. Zdekompletowane puzzle. Bączek w kolorowe paseczki. Na wpół opróżnione farby, brudne pędzelki, kubeczki, rysunki. I książki, dziesiątki, setki książek, kartonowych, rozkładanych, grających, irytujących, a pośród tego wszystkiego plastikowa wanienska z misiem, stercząca niczym statek, który idzie na dno.

Rupiecie, starocie, klamoty – wszystkie te rzeczy, którymi przez dziewięć ostatnich lat Konrad zasypywał Bożka, próbując zastąpić przedmiotami samego siebie. Byle tylko mieć spokój i skupić się na sobie.

A Król nie przestawał szeptać:

– Ach, spójrz, oto i przybył, człowiek zza zamkniętych drzwi, wielki nieobecny, jakże zajęty, jakże zapracowany, bez serca do dziecka, bez głowy do błahostek, bez czasu, ach, zawsze bez czasu! Ach, nie przeszkadzajmy mu, nie! Nie wolno przeszkadzać. Niech tonie w spokoju,

niech tonie w rozpaczy... – szeptał mu Król do ucha, a z ucha ten szept sączył się dalej, wprost do dziecięcego serca.



Chłopiec pomału odwrócił głowę i spojrział wprost na wujka oczami jak dwie kulki z chabrowego szkła.

– Niech tonie – powtórzył.

– A zatem – rzekł Król, unosząc sękaty palec. – Raz, dwa, trzy, toniesz – TY!

Zadrzało niebo bez gwiazd, zatrzęsła się góra rupieci i Konrad poczuł nagle, że się zapada, że góra go wciąga, pochłania, pożera! Szarpnął nogą, próbując się uwolnić, raz, drugi, trzeci. Na próżno.

– Kondziu!!! – wrzasnął Szczęsny i bez wahania rzucił się na ratunek przyjacielowi. Lecz jego widmowe ręce nie były w stanie nawet go chwycić, a co dopiero uwolnić z pułapki. – Bożku! – zawołał więc srogo, tak srogo, jak tylko potrafił, czyli nieszczególnie, ale liczą się intencje, a intencje miał zaiste srogie, najsroższe! – Bożku, proszę natychmiast odtonąć wujka! Bożku, tatuś do ciebie mówi!

Ale Bożek nie słuchał, nie słyszał nawet, że ktoś coś do niego mówi, coś woła, tylko żuł cukierka, pomału i dokładnie, a jego spojrzenie szkliło się coraz martwiej. Za to Król... Król się uśmiechnął, westchnął i podjął niestrudzony szept:

– Ach, tatuś... Tatuś, którego nie było, odszedł na długo, długo przed, ach, odszedł, zostawił, porzucił, uciekł daleko, w śmierć, aż w zaświaty... A mama? Gdzież jest mama? Gdzie wujaszek, gdzie anioł, gdzie potwór o wszędobylskich mackach? Nikogo, ach, nikogo, nigdzie, znikąd, nigdy, ach, moje ty Nieboże! Jakże ty nie obchodzisz nikogo, taki sam, samiuteńki, samotny, porzucony na pastwę, na pastwę wypchnięty, na szyderstwa i kpiny, i śmiechy, i drwiny... – Ostatni cukierek, duży i okrągły, zniknął w buzi chłopca. – Lecz ja ciebie widzę, moje ty Nieboże, dziwadło, dziwadelko, ja ciebie widzę i słyszę, i tulę, i nigdy, przenigdy nie zapomnę, co kochasz, co kochasz naprawdę.

I raz jeszcze wyciągnąwszy dłoń, Król zanurzył ją głęboko w rupieciach, z których wyłowił wreszcie cieniutką, zniszczoną książeczkę i zaczął czytać.

Czyj galop tak tętni w wichrze i ćmie?

To ojciec z swym synem na koniu w cwał rwie,

*to ojciec swe dziecię w czas wiezie spóźniony
i grzeje, ogarnia mocnymi ramiony.*

– Och, Kondziu! – zapiał Szczęsny do przyjaciela, naraz znów rozpromieniony. – Toż ja znam tę księżczynę, och, jakże ja dobrze ją znam! – I na dowód, że ani trochę nie przesadza, nie tym razem, wyrecytował gładko, wkładając w to całe uczucie: – *Mój synu, wciąż z lękiem twarzączkę zastaniasz...*

Bożek wreszcie odwrócił głowę. Jego chabrowe, szklane oczy spojrzały na widmo.

– *Nie widzisz, mój ojcze, jak elf nas dogania?* – odparł płaskim głosem i zacisnął dłoń na fałdzie mszystego płaszcza, aż pobiełały mu palce. – *Król elfów w koronie... i wlecze swój płaszcz...*

– *Mój synku, mgła wstała, mgła wlecze się, patrz!* Och, Kondziu, słyszysz? Czy ty słyszysz, jak nas jednoczy poezja?

Tymczasem Król, uśmiechnąwszy się szeroko, tak szeroko, że aż nos zetknął się z jego podbródkiem, odczytywał swą kwestię:

*„Pójdź do mnie, chodź do mnie, chłopczyno, bez obaw!
Znam ślicznych gier mnóstwo, chodź, pobaw się, pobaw!
I pełno mam kwiatów na brzegach mych wód,
a matka ma chowa złocistych szat w bród...”*

Włosy stanęły Konradowi dęba. Tak, słyszał, tak, Szczęsny znał tę księżczynę doskonale – wszak niegdyś należała do niego. Osobiście zresztą wyrwał i spalił dwie ostatnie kartki, gdyż przyprawiały go o przygnębienie, jak orzekł, nazbyt dosłowną puentą i systemem metrycznym. Cieniutki tomik poezji był jedną z nielicznych rzeczy, jakie ocalały, kiedy tamtej feralnej nocy ich dom, ich ukochaną Lichotkę strawiły płomienie, a widmo, dotychczas uwięzione w materialnym świecie, wreszcie mogło zaznać

spoczynku po drugiej stronie wieczności. Tu, w posiadłościach Króla.

Książeczka przez lata leżała w jakimś kącie, pokrywając się kurzem, dopóki nie trafiła w ręce malutkiego Bożka, który chłonał wtedy wszystko, co miało literki, chociaż wciąż rozpoznawał jedynie A (i to też pod warunkiem, że było drukowane). I Bożek pokochał tę trochę smutną, trochę straszną, nastrojową balladę o synku i ojcu, i elfowym królu. Nawet nie pamiętał, kto mu ją wtedy wręczył, z czyich ust usłyszał ją ten pierwszy raz...

– *Mój ojczy, mój ojczy, czyś tego nie słuchał, co elf mi obiecał, naszeptał do ucha?* – Głos Bożka znowu ostro zadźwięczał Konradowi w uszach.

– *Uspokój się, synku, uspokój się, mały* – odpowiedziało wniebowzięte widmo, wczuwając się w ojcowską rolę – *to wiatr tak w olszynach liść rusza, liść stlały.*

Konrad czuł, jak pomahu zdejmuje go coraz większe przerażenie, lecz nie dlatego, że góra rupieci zdążyła go już wciągnąć niemal po sam pas. Chodziło o coś innego, o coś więcej. Lecz o co?

A Król w mszystym płaszczu uśmiechał się i czytał dalej:

*„Chodź, piękny mój chłopczy, w te olchy... chodź ze mną,
me córki troskliwie hołubić cię będą.
Me córy tam tańczą, nim zejdzie świt,
wspiewają... whuśtają i ciebie w swój rytm...”*

I wtedy Konrad zrozumiał, do czego to wszystko zmierza. Przypomniawsobnie, czym kończy się ten wiersz.

– NIE! – krzyknął Konrad. Szarpał się jak oszalały z rękami nad głową, bo rupiecie minęły już jego brzuch i pomahu zmierzały ku piersi, ku amuletowi. – Bożku, nie słuchaj go! Ten strach, ten lęk... to nie ty! TO NIE JESTEŚ TY! Ja... ja wiem, że zwykle mnie nie ma przy tobie, że nie jestem

najlepszy w to całe rodzinne życie. Ale ja cię znam! Mieszkasz z duchami, a pod twoim łóżkiem sypia potwór. Wszedłeś na dach po drabinie, uczyłeś się pływać z utopcem, wsadziłeś sobie groszek do nosa i dałeś go sobie wyciągnąć pęsetą, nie płakałeś, kiedy lekarz zdejmował ci szwy z rozbitej wargi i nawet sam wyrwałeś sobie pierwszy mleczny ząb. Palcami! Zrobiłeś mu potem domek z pudełka po butach i codziennie kąpałeś go w wanience z plastikowej nakrętki. Plastry też sam sobie zawsze odrywasz. Uwielbiasz się tarzać po łóżku. I przytulać. Łapać płatki śniegu na język. Podbierać ziarna kawy z ekspresu i chrupać. Jesteś... jesteś dzielny. Wesoły. Szalony. Jesteś naszym Niebożątkiem, Bożkiem, Bożętym!

– *Mój ojciec* – chłopiec mówił dalej, głuchy na jego słowa – *nie widzisz, tam, w cieniu, przy drzewie król elfów mnie wabi do swoich królewien.*

– NIE! Przestań, nie recytuj! To ja ci dałem tę książkę, pamiętasz? Należała do twojego taty, a że ciągle o niego pytałeś, to... to przypomniałem sobie, że coś jednak po nim zostało. Z początku niewiele z niej rozumiałeś, ale na jednej stronie był narysowany konik, a ty tak bardzo kochałeś wtedy koniki... Tyle razy czytałem ci tę balladę do snu. Wiem, kim jesteś, Bożku... i wiem, jak kończy się ten wiersz. Nie słuchaj Króla Elfów, nie słuchaj jego szeptu! – błagał, lecz urok Króla był silniejszy niż wszystko.

Góra Rupieci już prawie wciągnęła Konrada w swe trzewia, a słowa starej, baśniowej ballady wciąż niosły się trzema głosami po zaświatach:

Mój synku... mój synku... sokoli mam wzrok:

To stare trzy wierzby szarzeją przez mrok...

Konrad zawył, rozpaczliwie szukając czegoś, co mógłby przeciwstawić urokowi okrutnego Króla, czegokolwiek, choćby najdrobniejszej iskierki nadziei. Wtem amulet na jego piersi po raz wtóry zawibrował i zalał go anielską miłością, krzepiącą, ciepłą i... i trochę lepłą od cukrowej posypki.

W pamięci niczym fajerwerki rozbłyskały wspomnienia minionych chwil. Dobrych chwil. Wspólnych. Szczęśliwych.

Lato.

Ganek.

Puk...

...i zmyślane na poczekaniu historii.

Co mu wtedy strzeliło do głowy? To była chyba najgłupsza, najbardziej niedorzeczna historia, jaką kiedykolwiek wymyślił. Żadnego wytworu swej wyobraźni nie wstydził się tak bardzo. A Bożek i tak się z niej śmiał, i tak ją uwielbiał, równie mocno co tę piękną, ponurą balladę ze starej książeczki. A może...

...może nawet i bardziej niż ją?

– KRÓL DŹDŹOWNIC!!! – ryknął niemal ostatkiem sił i nadziei. Plastikowa zabawka z jajka niespodzianki prawie wpadła mu przy tym do ust. Mógł już tylko kręcić głową, żeby uciec przed napierającymi rupieciami, a róg jakiejś książeczki o byle czym, którą kiedyś sam przecież kupił, dźgał go w kącik zaciśniętej powieki. Mimo to nabrał tchu i wyrzucił z siebie potok słów, byle zdążyć przed Ostatnią Strofą, która niosła śmierć: – Król dżdżownic!!! Był raz sobie król dżdżownic, pamiętasz? Inne dżdżownice uważały, że jest bardzo mądry, gdyż nosił na głowie (lub ogonie) bardzo złotą koronę, dlatego przybywały do niego z najdalszych zakątków Gleby, by zadawać mu mnóstwo głupich pytań, na przykład dlaczego żwir smakuje żwirem, a nie marchewką z groszkiem, albo czy ślepa kiszka jest ślepa jak kret, czy raczej to kret jest ślepy jak ślepa kiszka. Aż pewnego razu dżdżownic robił siusiu i tak się zadumał nad tym swoim nieustannym królowaniem, że naraz złota korona wpadła mu do kibelka. Biedny król dżdżownic nie miał rąk, więc nijak nie mógł jej wyłowić. „Och – zakrzyknął z rozpaczą, załamując ogon (lub głowę) – cóż ja teraz pocznę bez mojej złotej korony!”. Bez niej niczym się nie różnił od pozostałych dżdżownic. Był tylko zwykłą dżdżownicą zapatrzoną w złotą koronę, która

pływała w równie złotych siuśkach. Nikt go już nie rozpoznawał, co było smutne, ale też nikt nie zwracał mu głowy (lub ogona) ciągłymi pytaniami o wszystko, co z kolei było miłe. Mógł więc zapomnieć wreszcie o złotej koronie i zostać hydraulikiem, tak jak zawsze o tym marzył!!!

I wtedy w szklanych oczach na powrót rozkwitły chabry i Niebożątko, Bożek, Bożęty zaśmiał się dźwięcznie! Tak dźwięcznie, tak pogodnie i szczerze, że pękło nabrzmiące niebo i posypały się z niego miliony gwiazd. Oślepiiony nagłym blaskiem Król zawył. Góra Rupieci, kłopotów bez sensu i bez znaczenia, zadrżała od stóp po samiuteńki wierzchołek, aż od tego drżenia chłopiec ze skrzydłami z brystolu i pierza spadł i sturlał się prosto na Szczęsnego i Konrada.

– Wujku! – Z okrzykiem radości ruszył mu z pomocą. Rupiecie przestały wreszcie napierać i teraz rozstępowały się ulegle pod jego dłońmi. – Och, wujku! Przyszedłeś po mnie, przyszedłeś! Razem z... eee... wielkim zielonym glutem?...

– Ten glut to twój ojciec – wyjaśnił Konrad, pospiesznie wygrzebując się z pułapki. – Bożek, Szczęsny, Szczęsny, Bożek.

– OCH! – ojciec i syn westchnęli jednym głosem i już, już otwierali usta, tak samo jasnowłosi i promienni, gdy naraz ponad ich głowami przeciągłe wycie umilkło i na powrót rozbrzmiały złowrogie wersy:

„Ja kocham się w tobie... Twój wdzięk mnie zniewolił...

A będziesz oporny, to porwę wbrew woli!”

Konrad niemal poczuł, jak siwieje.

– W NOGI! – wrzasnął i pociągnął za sobą chłopca i przyjaciela w dół zbocza. – Zanim Król doczyta do końca!

– Och, ale czy musimy? – widmo jęknęło melancholijnie, zerkając za siebie. – To jest taka piękna ballada...

– Przepiękna, istotnie. A pamiętasz może, jak się kończy?!

– Oczywiście! Ojciec ze zgrozą odkrywa, że jego syn nie ży... Och.

– Ano właśnie! Szybko, Szczęsny, prowadź!

Amulet drgnął po raz ostatni i anielska niezłomność zagrała w żyłach Konrada. Porwał chłopca na ręce i puścił się szaleńczym biegiem za widmem, które powiodło ich przez zaświaty z powrotem do przejścia, podczas gdy po pękniętym, lepkiem niebie niosły się słowa:

– Tatusiu... Tatusiu! Ach, jaki ból!

Już chwyta... już ciągnie elfowy Król!...

– Tato, to ty jesteś glutem?! – Bożek zawołał na całe gardło, żeby przekrzyczeć okrutny głos Króla.



- Ach, glutem! Widmem! Kochankiem! Poetą! – piał Szczęśny, oglądając się na syna z uwielbieniem w oczach.
- To... to... sa... mo! – wydyszał Konrad.
- Ale jak to?!
- Tobie... się... Przyda... rza... tak?
- No tak. – Bożek pokiwał głową, aż folia aluminiowa posypała mu się

z pukli. – Kiedy śpię, to znikam.

– Właś... nie. Oesu... dalej... sam... – Po kilku zakrętach, pokonanych szaleńczym biegiem z elementami niekontrolowanego poślizgu, Konrad zatrzymał się wreszcie i odstawił chłopca na ziemię. Nie czuł nóg ani rąk, miał wrażenie, że składa się z dudnienia w skroniach i łomotania w piersi. W ciągu ostatniej doby zdecydowanie za dużo biegał... Po kilku szarpanych, bolesnych oddechach wziął Bożka za rękę i ruszył ponownie za Szczęsnym, chociaż przed oczami wciąż tańczyły mu mroczki. – A wiesz... wiesz, dlaczego... ci się... Przyda-arza?

*Strach ojca porywa. Ostrogą spiął konia,
wiatr ściga – a dziecko majaczy w ramionach.*

Bożek zmarszczył czoło w głębokiej zadumie.

– W zasadzie... – bąknął. – No, tak w zasadzie to nigdy się nad tym nie zastanawiałem...

– Bo widzisz... Twoja mama... ona nie poznała twojego taty... przed jego śmiercią. Tylko tak jakby... po niej.

– Znaczy... po śmierci?

– Tak. Jakieś... no, prawie dwieście lat po.

Wstrząśnięty chłopiec spojrzał na bladego wujka, a potem na bladozielonego tatę, który sunął przed nimi. Nad ziemią. Jak to... no, duch. Widmo. Glut.

– Moja mama zakochała się w glutowatym widmie?!

– Na jej obronę dodam, że był wtedy mniej glutowaty niż teraz.

– Ach, dziecko ty moje – rzekło wspomniane widmo – wszak serce nie jest sługa, nie...

– Tak, wiem – przerwał mu Bożek ze znudzoną miną – nie zna, co to pany, i nie da się przemocą okuwać w kajdany, tak, wiem.

– Och, moja krew!!! – Szczęsny nie posiadał się ze szczęścia.

– Tato, a czy ty umiesz tak bez tego ciągłego wzdychania? Czy niekoniecznie?

Mimo nieludzkiego zmęczenia Konrad nie zdołał powstrzymać radosnego parsknięcia.

– A to moja.

Przyjaciel obrzucił go spojrzeniem pełnym oburzenia.

– Och... znaczy, Kondziu, zepsułeś mi dziecko!

– Polecam się na przyszłość.

Bożek tymczasem nie przestawał nad czymś dumać.

– A więc to dlatego wujaszek Turu zawsze tak strasznie chichocze, kiedy mama mówi, że tata umarł Naprawdę Długo przed moim urodzeniem! – zawołał wreszcie.

– Zuch–chłopak, w końcu zrozumiał dowcip.

– MRRRRRRROOOOOOOOOOARRRRRRRRRRRGHHHHHHHHH!!! – rozległo się gdzieś przed nimi. Jeszcze kilka kroków, kilka metrów i w końcu ujrzeli przejście do rzeczywistego świata, przejście do domu, a w nim lśniące macki małego potwora, który machał do nich z euforią. I wówczas Król przemówił ponownie, jak gdyby cały czas śledził ich ucieczkę ze szczytu Góry i czekał właśnie na ten moment, by rzec:

I dopadł wrót domu, nim zeszedł świt.

– Bożku, szybko, szybko!!! – Wujek bez ceregieli pociągnął go za sobą.

Lecz chłopiec naraz wyrwał rękę i cofnął się o krok, patrząc żałośnie to na wujka, to na tatę.

– Nie! Ja nie chcę! – zaprotestował. – My nawet nie zdążyliśmy się poznać!

– Bożku, wiem, ale... – Konrad odetchnął ciężko. – Zrozum. Musisz wrócić na naszą stronę, zanim Król doczyta do końca. Został mu ostatni wers.

– Bo inaczej tu zostanę, tak? Na zawsze? Razem... razem z tatą? – dokończył z nieskrywaną nadzieją.

– Tak, razem z tatą. Ale też razem z Królem i jego smutkiem w słodkich cukierkach, rozumiesz? A wtedy twoja matka jak nic mnie zabije, a potem wyegzorcyzmuje i spuści mi takie bęcki, że się nakryję własnym nagrobkiem. I słusznie się nakryję, bo to będzie moja wina. Bożku...

Usta małego chłopca wygięły się w podkówkę i już miał wybuchnąć rozpaczą, kiedy tuż przed nim stanął tata, nachylił się i rzekł mu do ucha szeptem, lecz nie jadowitym, zniewalającym, jak szept Króla, ale czułym i pieśczośliwym:

– A to znasz?

*Z każdej ze mną przemówionej chwili
Niech zostanie dźwięk jakiś cichy i uroczy,
Niechaj gra w twoim uchu, a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili...*

To mówiąc, przytknął widmową dłoń do widmowej piersi, a gdy znów ją wyciągnął przed siebie, Bożek ujrzał na niej dużą, bladozieloną łzę, która przez chwilę migotała, półpłynna, a przy tym opalizująca jak perła, aż w końcu zastygła.

– Weź to, Bożku. Weź i zawsze miej przy sobie. Będę cię odwiedzać we śnie, obiecuję. Będę ci szeptał najcudniejsze poezje... A gdybyś wielce zatęsknił za moim widokiem, cóż, istnieją na tę okoliczność pewne tajemne rytuały, które...

– Szczęsny, akurat na TE rytuały to on jest jeszcze stanowczo za młody!
– syknął Konrad. Rzucił szybko okiem na niebo, a potem na wyciągnięte ku nim macki małego potwora. – Bożku, my naprawdę musimy już iść.

Szczęsny uśmiechnął się łagodnie, zapatrzonego w oczy syna, równie chabrowe co jego własne. I tak samo zasnutę łzami.

– Ja byłem, jestem i będę – szepnął przez dziwnie ściśnięte gardło. –
Zawsze.

– Zawsze przy mnie, lecz nie ze mną.

– Nie inaczej, synku. Nie inaczej.

Spojrząwszy ostatni raz na tatę, Bożek zacisnął palce na widmowej łzie, nabrał głęboko powietrza – i skoczył, a w ślad za nim pognały ostatnie słowa Króla:

Na ręku chłopczyzna już nie żył. Już stygł...

– Przyszedłeś po mnie, wujku – powiedział Bożek, kiedy z pomocą niestrudzonych macek wygramolili się wreszcie z wody na brzeg stawu.

Był środek październikowo-listopadowej nocy, lecz na parterze domu wciąż paliło się światło, które rozlewało się plamą po uśpionym ogrodzie. Konrad niezdarnie pogładził chłopca po włosach, w których wciąż szeleściły resztki folii aluminiowej.

– Oczywiście, że przyszedłem – odparł cicho. – Byłem przy twojej mamie, kiedy cię rodziła, wiesz?

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przeciąłem pępowinę, pierwszy wziąłem cię na ręce... Powitałem cię na tym świecie, a teraz... wyprowadziłem cię z tamtego. – Uśmiechnął się blado, zmęczony jak nigdy, ale też chyba jak nigdy szczęśliwy. – Kto inny, jak nie ja?

I naraz, ku jego zaskoczeniu, Bożek przywarł do niego jak kleszcz, ale nie taki prawdziwy, którego chciałoby się jak najszybciej wyciągnąć, żeby sobie poszedł być kleszczem gdzie indziej, tylko taki duży i przekochany, najukochańszy na świecie.

– Wujku, ty to jesteś naprawdę dziwny – wymamrotał Bożek prosto w chudą wujkową pierś, w której serce załomotało teraz jak młotem. – I w ogóle nie umiesz w dzieci.

– Och, Bożku, żebyś ty wiedział, jak bardzo nie umiem...

– To trochę tak jak ja, wiesz? No bo... bo... bo dzieci ze szkoły uważają, że jestem dziwny!

– Bo jesteś.

– Wcale że nie!!!

– Jesteś, Bożku, jesteś – odparł wujek Konrad ze stoickim spokojem, odchylając głowę, żeby spojrzeć w chabrowe oczy chłopca. – No i co się tak złościysz? Przecież w tym nie ma nic złego. Ani nic dobrego. Po prostu tak jest. I już. Świat byłby niepełny, gdyby żyli na nim sami zwyczajni ludzie. Zwyczajni ludzie robią mnóstwo zwyczajnych rzeczy, bez których nie umielibyśmy żyć. Ale to dziwni wspinają się na najwyższe szczyty gór, latają w kosmos, patrzą godzinami w gwiazdy. Przekraczają granice światów... albo zdrowego rozsądku. Albo piszą książki.

– Jak ty.

– Jak ja. Lub wiersze, jak twój tata.

Chłopiec myślał nad tym przez chwilę.

– Wujkuuu?... – odezwał się wreszcie.

– Tak, Bożku?

– Masz całe ubranie w glucie.

– Ach, no tak. – Uwolnił się z objęć chłopca i spojrzał na siebie. Rzeczywiście, cały był w bladezielonych, lepkich zaciekach. – Twój tata mnie wyściskał. Na szczęście od tego się nie umiera.

– Od wyściskania czy od gluta?

– Od gluta. Zresztą od wyściskania też nie.

– Nie?

– Nie.

– Ale na pewno?

– Na pewno.

– A od zjedzenia surowego ciasta? – Bożek postanowił przy okazji definitywnie rozstrzygnąć tę kwestię, która bardzo go intrygowała. Od

zawsze wietrzył tu jakiś podstęp.

– Nie.

– A ciepłego? Wiesz, takiego prawie że prosto z piekarnika, że jeszcze parzy w palce? I w język?

– Też nie.

– A jeśli się zje dużo śliwek robaczywek?

– Nie.

– Ale tak naprawdę, naprawdę, NAPRAW...

– Nawet wtedy nie. Co najwyżej naprawdę, naprawdę, NAPRAWDĘ rozboli cię brzuch.

– A wujkuuu?... – zapytał znowu, tym szczególnym tonem, który w uszach dorosłego nieomylnie zwiastuje Prośbę o Coś Nie Do Końca Dozwolonego.

– Taaak?

– A wrócimy tam za rok? No wiesz. Odwiedzić tatę. Ty i ja.

– Dobrze, Bożku. Wrócimy. Ty i ja. Tylko może już bez strasznych ballad i innych dramatów.

– I za rok? I za rok, i za rok, i za rok? I za...

– Tak, Bożku, będziemy wracać tyle razy, ile tylko zechcesz. A teraz chodź. Chyba tam na nas czekają. – Skinął głową w kierunku domu.

Tak. Stary dom czekał na ich powrót. Może i był inny niż wszystkie domy, trochę dziwaczny, bardzo zagracony i strasznie skomplikowany wewnątrz, lecz za to ciepły i przytulny. Bezpieczny. A do tego zawsze pachniało w nim miłością i świeżym ciastem. (I trochę pierzem, zwłaszcza po wieczornej kąpieli). Dlatego też, mimo późnej pory, od progu powitały ich radosne okrzyki i woń słodkości, i puszyste, suche ręczniki, i kończyny wszelkich rodzajów, gotowe nieść pomoc, gorące kakao oraz uścisk. Bo właśnie to – pomyślał Bożek, gdy znów było mu ciepło na ciele i duszy, a powieki stały się takie ciężkie, że już nie umiał ich udźwignąć – to jest naprawdę ważne.

Gdy pewnego dnia Bożek wrócił ze szkoły z płaczem, że stało się Coś Naprawdę Straszego, wujek Konrad stanął na wysokości zadania.

– Zadzwoń do szkoły i to załatwię – orzekł po krótkim namyśle, wysłuchawszy, o co chodzi. – A ty, Turu, lepiej grzej singera.

Otóż chodziło o to, że poprzedniego dnia wynajęty przez szkołę Święty Mikołaj odrobinę przesadził na kinderbalu z entuzjazmem, aż coś strzeliło mu w najniższej partii pleców, znanej również jako lewy pośladek. Kuśtykał teraz zgięty pod dziwnym kątem i na samą myśl o kolejnym spotkaniu z dziećmi w dużych ilościach chciało mu się płakać. Tym sposobem szóstego grudnia obydwaj wujkowie wraz z Lichem ruszyli do szkoły, by uratować mikołajki przed nieodwołalnym odwołaniem.

Turu, z racji naturalnych warunków, przypadła tego dnia rola najważniejsza. Uszyty z aksamitnej kapy strój awaryjnego Świętego Mikołaja, choć miał na pupie plamę po Słynnej Wpadce z Keczupem, Do Której Nie Wracamy, Bo Nie, leżał na nim jak druga skóra. Dobroduszne HO-HO-HO, wykonywane z obowiązkowym trzęsieniem brzucha, wujaszek opanował po kwadransie ćwiczeń. Na koniec zaś, z pomocą mamy Bożka, przefarbował włosy i brodę, a nawet brwi na biało i w rezultacie robił naprawdę przekonujące wrażenie.

(Mama początkowo próbowała z nich wyciągnąć, co zaszło pod jej nieobecność i co to w ogóle znaczy, że tata dał Bożkowi gluta. Przestała dopiero po tym, jak Tsadkiel pouczył ją przemądrzałym tonem, że to Męskie Sprawy i że nie powinna się wtrącać, co skończyło się Nieziemską Awanturą z Darcie Pierza).

Również i Konrad postanowił wykorzystać to, co mu natura dała – podczas gdy Turu z pomocą wychowawczyń i wniebowziętego Licha (które doskonale udawało, że To Tylko Taki Kostium) rozdawał prezenty, on krążył po sali gimnastycznej w przebraniu diabła i straszył uczniów, którzy nie chcieli posłusznie czekać na swoją kolej.

– ...a jak dalej będziecie niegrzeczni, to nawiedzę was dziś w nocy –

oznajmił szczególnie rozwrzeszczanym czwartoklasistom. Dzieciaki jak jeden mąż wybałuszyły gały, rozdziawiły usta i ku zaskoczeniu Konrada jęknęły z nieskrywanym zachwytem:

– EKSTRA!...

– Za moich czasów to działało inaczej – poźalił się potem Konrad, przechodząc akurat obok zziajanego już Turu, na co ten zachichotał pod nosem.

– Trza się było, bratku, przebrać za brak internetu. Byłaby groza, że HO-HO-HO!

Tymczasem Bożek siedział ze swoją klasą i buszował w paczce. Czekoladą zamierzał podzielić się z Lichem, a żelkowe robaki o smaku coli sprezentować Guciovi, który za nimi przepadał (za to tych w kształcie misiów bał się panicznie). Osobiście najbardziej ucieszył się z puzzli i książki. Chciał ją tylko przejrzeć, lecz nim się obejrzał, był już na dziesiątej stronie.

– Masz fajnych wujków – usłyszał naraz tuż obok. Podniósł głowę znad książki i zobaczył, że przysiadł się do niego Tomek.

– No! – przytaknął Bożek, w mgnieniu oka rozpromieniony. – Najlepszych. Na nich można liczyć. Zawsze.

– No. Mój też się stara, ale nie wychodzi mu tak fajnie. Ostatnio kupił mi kalosze w minionki, uwierzysz?

– Obawiam się, że nie wiem, co to są minionki – przyznał Bożek. Poczul, że trochę się rumieni. – Coś jak minotaury, tylko mniejsze?...

Witek, który siedział przed nimi, parsknął śmiechem i przeżutą czekoladą. Tomek też się zaśmiał, tyle że zupełnie inaczej, co wyczulone ucho Bożka natychmiast wychwyciło.

– To twój brat? – Tomek wyciągnął rękę i wskazał przeszczęśliwe Licho, które latało teraz po sali z dużym wiklinowym koszykiem i rozdawało dzieciom mandarynki. – Fajnie wygląda w tym twoim kostiumie. Jak prawdziwy anioł.



Bożek z wrażenia aż zapomniał o oddychaniu, taka go ogarnęła radość. Więc ktoś go jednak wtedy zauważył! Ktoś zapamiętał anielski kostium, tak inny niż wszystkie. I to właśnie Tomek, który był fajny i wesoły, i mądry, i... i... i w ogóle super, tak super, że cała ich klasa tak jak on jadła teraz na drugie śniadanie kanapki z pasztetem i zielonym ogórkiem, jak gdyby od tego mogli stać się równie super jak Tomek.

– No... bo to jest twój kostium, co nie? – zapytał Tomek, tak dla pewności. – Pamiętam go z balu. Szkoda, że nie zostałeś do końca. Moja młodsza siostra też pożycza moje kostiumy – rzekł szybko, widząc nagłe zmieszanie kolegi. – O, na przykład na Halloween uparła się, że pójdzie do przedszkola przebrana za Lorda Vadera. Schowała się w szatni, żeby kogoś nastraszyć. No i nawet jej się udało, bo chyba pół przedszkola szukało jej przez godzinę. Ale ona ma niecałe cztery lata i czasem jeszcze nie rozumie – dodał z uśmiechem. – A ja i tak ją kocham.

Witek znów parsknął złośliwie, lecz obaj chłopcy nie zwrócili na niego uwagi. Zwłaszcza Bożek, który długo bił się z myślami, aż w końcu zebrał się na odwagę. „Przekroczyłem granice światów – rzekł do siebie – więc i ze szkołą chyba sobie poradzę”.

– Wiesz co? – zwrócił się do kolegi. – Tak naprawdę to ja nawet nie lubię pasztetu.

Tomek znowu się zaśmiał, ale tak, że Bożek od razu wiedział – Tomek zrozumiał, co to za pasztet z tym całym pasztetem. Za to Witek, który wciąż im się przysłuchiwał, kończąc czekoladę ze swojej paczki, nie zrozumiał nic a nic.

– Jesteś dziwny – stwierdził, wypatrując łez w oczach kolegi.

Ale Bożek tylko nabrał powietrza. „Przekroczyłem granice światów – powtórzył w myślach. – Uciekłem samemu Królowi, mój tato jest widmem, a pod moim łóżkiem śpi potwór. Wiem, kim jestem”.

– No. Jestem dziwny – przytaknął spokojnie. – I co?

– Co... co?

– Co z tego, że jestem dziwny? – zapytał Bożek, przechylając głowę i przyglądając się koledze z zaciekawieniem. – Ale wiesz. Tak konkretnie.

Witek spurpurowiał.

– No... no... no dziwnie się nazywasz, gadasz dziwnie i... i robisz dziwne rzeczy. Nawet włosy masz dziwne! Dziwadło!

– A ty nigdy nie robisz dziwnych rzeczy? – rozległ się dźwięczny głosik

małego anioła. Licho stanęło przed nimi z koszykiem mandarynek.

Witek, choć przecież siedział na ławce, obrzucił je spojrzeniem pełnym wyższości.

– Nie. JA jestem NORMALNYM chłopcem.

– A normalni chłopcy nigdy nie robią dziwnych rzeczy?

– Oczywiście, że nie.

– Nie tarzają się po dywanie w brokacie?

– Nie.

– Nie pływają drakkarem po stawie?

– Nie.

– Ani nie liczą kotu sęków, żeby sprawdzić, czy jest stary?

– Nie! Przecież koty nie mają sęków, ty... ty głupku!

– Dziwne, bo nasz ma. Dokładnie trzynaście – odparło Licho z niezachwianą pewnością. A potem jego tęczowe oczy roziskrzyły się jeszcze radośniej, gdy coś mu nagle przyszło do głowy. – Och, alleluja, wiesz co, wiesz co? Wydziergam ci bamboszki! W kropeczki. – To rzekłszy, Licho sięgnęło do koszyka po mandarynkę i wręczyło ją zdumionemu chłopcu. A potem, ku jeszcze większemu zaskoczeniu całej trójki, pogłaskało go czule po głowie. – Bo wiesz, alleluja, w bamboszkach w kropeczki nie da się być normalnym chłopcem.

Tego dnia Bożek wrócił ze szkoły rozanielony chyba bardziej niż Licho. Podczas kolacji prawie zagadał mamę na śmierć, z zapałem opowiadając jej o tym, jakim Świętym Mikołajem był wujaszek Turu i jak to wujek Konrad z tą swoją miną kręcił diabelskim ogonem, aż wszystkie panie nauczycielki tak śmiesznie chichotały, i jak nikt się nie zorientował, że Licho jest PRAWDZIWYM aniołem stróżem, a nie zwykłym przebierańcem, i jak rozdało cały, CALUTEŃKI koszyk mandarynek, i jak od tych mandarynek dzieci robiły się takie... takie tęczowo radosne, mamó, nawet Witek, rozumiesz, NAWET WITEK! Ale najnajwspanialsze wydarzyło się na

koniec, kiedy tuż za szkolną furtką minęli się z Tomkiem i jego wujkiem i wtedy Tomek pomachał do Bożka i zawołał:

– Chciałbyś kiedyś przyjść do mnie po lekcjach? Pokażę ci FIFĘ. I minionki!

– Mógłbym, mamó? Wujku? Mógłbym pójść kiedyś do Tomka? – dopytywał Bożek, całkiem zapominając o jedzeniu.

Wujek Konrad odparł, że jasne, wujaszek Turu też powiedział, że no pewnie, bratku, a mama także skinęła głową i rzekła, że to bardzo, naprawdę bardzo dobry pomysł.

Wieczorem pachnący mydłem Bożek niechętnie wlaź pod kołdrę. Wcale nie chciał spać! Nie chciał, żeby ten cudowny dzień się skończył, nie chciał, żeby przyszła noc, a po niej nieuchronne jutro... Wsunął dłoń pod poduszkę, gdzie leżała bladozielona łąza. Spod łóżka dobiegały pomruki Gucia, który mościł się wygodnie. Czekali już tylko na Licho. No i na wujka, rzecz jasna.

Bo wujek Konrad, odkąd wrócili Stamtąd, każdego ranka wstawał teraz wcześniej – niby żeby pójść po świeże bułki, lecz tak naprawdę po to, żeby odprowadzić Bożka do szkoły, która stała przecież przy tej samej ulicy co piekarnia. I gdy tak szli razem, czasem pytał, o wszystko lub o nic, a potem słuchał, co Bożek miał mu do powiedzenia, czasem zaś milczał razem z nim. A wieczorem przychodził do jego pokoju, siadał na podłodze, plecami oparty o łóżko, i z głową małego chłopca na jednym ramieniu, głową małego anioła na drugim i macką małego potwora w pasie czytał im i czytał, i czytał, póki oczy nie zaczęły im się kleić. I póki w głowie Bożka wspomnienia Stamtąd nie zbladły i pierzchły, wyparte przez sny o poezji i czułe szepty widmowego głosu. Wujek robił to zawsze, nawet jeśli był zmęczony albo zapracowany, albo naprawdę miał ochotę na coś innego.

I tego wieczoru też przyszedł, niosąc Licho na barana, lecz zamiast jak zwykle podejść do regału i coś z niego wybrać, pomachał do nich książką, której Bożek nigdy dotąd nie widział.



- Dziś przeczytam wam coś innego.
- Co takiego? – Chłopiec zerknął z zaciekawieniem na białobłękitną okładkę, próbując dojrzeć tytuł.
- Moją najukochańszą książkę z dzieciństwa. Wspaniałą... i trochę straszną.
- Ale... ale tak tylko trochę?... – chciał wiedzieć mały anioł.

– Trochę trochę. A trochę bardzo.

– Ojoj, alleluja... – pisnęło Licho z przejęciem, a potem usadowili się jak zawsze, Konrad otworzył książkę, odchrząknął i głosem cichym i miękkim jak kocie mruczenie zaczął czytać:

– *Chciałbym opowiedzieć wam o moim bracie. Nazywa się Jonatan Lwie Serce i o nim właśnie będzie ta historia. Mnie się ona wydaje prawie baśnią i nawet trochę, troszeczkę, opowieścią o duchach, a przecież wszystko w niej jest prawdą.*

– Och, to trochę jak u nas! – zachwycił się Bożek.

A wujek Konrad spojrzął na pół chłopca, pół widmo, spojrzął na anioła stróża o tęczowych oczach, spojrzął na potwora o wszędobylskich mackach i uśmiechnął się do siebie.

– Trochę tak. A trochę nie...

KONIEC, ALLELUJA

Podziękowania

Autorka chciałaby z całego serca podziękować Gabrysi Chojnackiej oraz Królowej Matce wraz z Bandą Czworka za to, że zgodzili się posłużyć za obiekt Straszliwych Eksperymentów na żywych organizmach za pomocą Jeszcze Straszniejszej Prozy z Elementami Potwornej Poezji. (Odszkodowań za Skutki Uboczne nie uwzględnia się, chyba że w czekoladzie. Albo w żelkach. Ewentualnie w krówkach).

W książce wykorzystano następujące utwory lub ich fragmenty:

Król elfów Johanna Wolfganga Goethego w przekładzie Jadwigi Gamskiej-Łempickiej (*Niemiecka ballada romantyczna*, oprac. Zofia Ciechanowska, Wrocław – Warszawa – Kraków 1963).

Bracia Lwie Serce Astrid Lindgren w przekładzie Teresy Chłapowskiej (Warszawa 2004).

Dobranoc, Niepewność i Romantyczność Adama Mickiewicza.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadzący: Anna Salwa
Redakcja: Piotr Chojnacki
Korekta: Artur Kaniewski, Anna Salwa
Projekt okładki oraz ilustracje na okładce i wewnątrz książki: Paulina Wyr

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5590-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo